MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 43 WARSZAWA, 18 PAZDZIERNIKA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZAŁOŻENIA PROGRAMU GOSPODARCZEGO

Prof. Roman Rybarski przeznaczył dla „Myśli Narodowej“ cykl artykułów programowych z zakresu gospodarki narodowej. Oto pierwszy z nich. Nie wątpimy, że czytelnicy z zadowoleniem powitają te wskazania, tak bardzo dzisiaj potrzebne każdemu do orjentowania się w ciężkiem położeniu i do celowej a solidarnej pracy nad odrodzeniem gospodarczem Polski.

CELEM polityki gospodarczej, która bierze naród za punkt wyjścia, jest:

a) osiągnięcie jaknajwiększego dobrobytu narodu;

b) dbałość o to, by źródła tego dobrobytu były trwałe;

c) pełny rozkwit sił duchowych narodu w gospodarstwie, czyli całkowite gospodarstwo narodowe;

d) zagwarantowanie niezależności politycznej przez zdolność obronną narodu;

e) urzeczywistnienie jedności narodu w gospodarstwie, czyli gospodarstwo oparte na prawidłowej równowadze społecznej.

Przejdźmy pokrótce te postulaty:

Jak największy dobrobyt narodu. Dobrobyt, suma bogactwa, nie może być ostatecznym celem zarówno w życiu jednostki, jak i w życiu narodu. Historia zna przykłady społeczeństw, które ugrzęzły w dobrobycie, upadły moralnie i stały się łatwym łupem sąsiadów. Nam w tej chwili nie grozi to niebezpieczeństwo nadmiaru dobrobytu. Bogactwo jest narzędziem osiągania wyższych celów. Ale im to narzędzie będzie mocniejsze, tem łatwiej osiągnąć wyższe cele. Naród musi czuwać nad swoim porządkiem społecznym, regulować w ten czy inny sposób rozdział dochodu społecznego. Jednak warunkiem skuteczności tego regulowania jest uzyskanie jak największego dobrobytu.

Trwałość źródeł dobrobytu. Dobrobyt doraźny można osiągnąć kosztem niszczenia i wyczerpania zasobów naturalnych kraju. Naród, który na swoje bieżące potrzeby zużywa te zasoby w szybkiem tempie, nie troszczy się o ich zabezpieczenie, popełnia zbrodnię przeciw przyszłym pokoleniom. Można również osiągnąć wielki doraźny dobrobyt, wyzyskując zmienne koniunktury międzynarodowe, uzależniając się jednostronnie od zagranicy. Wtedy narodowi grozi los starożytnego Rzymu, na który skarży się u Tacyta cesarz Tyberiusz: „Italia potrzebuje obcej pomocy, życie narodu rzymskiego codziennie upływa w zawisłości od niepewności morza i burz”.

Całkowite gospodarstwo narodowe. Gospodarstwo jest jednym z przejawów kultury narodu. Naród, który chce żyć pełnem życiem, nie może w gospodarstwie ograniczyć się do niektórych tylko jego postaci, zostawiając inne obcym, albo zaniedbując je zupełnie. Nie trzeba szczegółowo uzasadniać doniosłości tego postulatu; wystarczy powołać się na rolę żydów w naszem gospodarstwie.

Zdolność obronna narodu przez gospodarstwo. Polityka gospodarcza ma między innemi dostarczyć zasobów i narzędzi, potrzebnych do wygrania wojny. Nie można dzisiaj prowadzić tej polityki, nie licząc się z wymaganiem obronności zewnętrznej, a zwłaszcza nie może zaniedbywać tego czynnika Polska, uboga w porównaniu z sąsiadami i pozbawiona niemal zupełnie granic naturalnych. Postulat obronności kraju musi mieć wpływ nietylko na kierunek produkcji, lecz również i na rodzaj i tempo przeprowadzanych reform społecznych. Trzeba się liczyć z możnością wyżywienia wojska, z potrzebą istnienia wielkiego przemysłu, pracującego na potrzeby armii i t. d.

Jedność narodu w jego gospodar-

stwie. Naród jest jednością; tę zasadę winien urzeczywistniać także i ustrój gospodarczy narodu. Ma on dać wyraz wzajemnej zależności różnych jego warstw, ułatwiać ich współdziałanie. Nie może ten ustrój wyrażać się w ostrych przeciwieństwach klasowych, w jednostronnem nagromadzeniu bogactwa w ręku jednej grupy społecznej. Nie może dawać przewagi jednej warstwie narodu, sprzyjać powstawaniu jakiejkolwiek dyktatury, czy to kapitału, czy proletariatu fabrycznego, czy też chłopskiej. Wyrównywanie przeciwieństw społecznych musi się odbywać zgodnie z rozwojem i zabezpieczeniem sił produkcyjnych narodu.

*

Kto jest podmiotem polityki gospodarstwa narodowego? Kto ją prowadzi, względnie ponosi za nią odpowiedzialność? Oczywiście państwo i inne związki prawno-publiczne, oparte na przymusie. Nawet rząd liberalny, dążący do zredukowania do *minimum* funkcyj gospodarczych państwa, będzie prowadził politykę gospodarczą. Następnie podmiotem tej polityki są różne związki zawodowe i gospodarcze. Prowadzą one swoją politykę, która czasami łączy się w jedno z polityką państwową, a czasami jej przeciwstawia. Związki nawet dążąc do ciasnego, egoistycznego celu, oddziałują w ten lub inny sposób na budowę gospodarstwa narodowego.

Na tem nie koniec. Jeżeli mamy na myśli gospodarstwo narodowe, nie możemy pominąć wielkiego znaczenia jednostki i różnych związków jednostek, nie mających często wyłącznie tylko gospodarczego charakteru. Jednostka jest producentem i konsumentem. Jako konsument może oddziałać na produkcję, dać przewagę temu lub innemu jej kierunkowi. Wystarczy wskazać na wielkie znaczenie bojkotów ekonomicznych, by stwierdzić jednostronność poglądu, który tylko w państwie i w związkach zależnych od państwa widzi podmiot gospodarczej polityki. Człowiek, który wybiera swój zawód, ma i powinien w tym wyborze liczyć się ze względami narodowemi. Kapitalista może swym kapitałem pomagać swoim lub obcym.

Pogląd, według którego z jednej strony jest tylko pogoń jednostek za zyskiem, a z drugiej przymus państwowy, opiera się na grubem zniekształceniu rzeczywistości. Przynależność do narodu nakłada na jego członków obowiązki także i co do ich życia gospodarczego. Niema gospodarstwa, któreby było oddzielone nieprzebytym murem od innych sfer życia narodu. Na każdym czynie członka narodu, na tem jak on pracuje, jak żyje, jak układa swój stosunek do zatrudnionych przez siebie pracowników, ciąży odpowiedzialność moralna. Gdybyśmy chcieli izolować życie gospodarcze, stanęlibyśmy na stanowisku, że to życie jest amoralne. Każda gospodarująca jednostka powinna mieć świadomość, że jest czynnym uczestnikiem narodowego gospodarstwa, że może oddziałać na jego rozwój i jego przyszłość. I to właśnie daje wartość jej nieraz bezbarwnemu trudowi dnia codziennego.

Wysiłki państw, związków społecznych, jednostek opierają się na uznaniu wspólnych celów i na doborze środków, które do tych celów wiodą. Wyraża je program gospodarczy, względnie kompromis czy wypadkowe różnych dążeń programowych. O programie gospodarczym mówi się wiele; ale nie wszyscy wiedzą o tem, że ten wyraz ma różne znaczenia, z których dwa są najważniejsze.

Najpierw przez program rozumie się ogół środków, któremi usuwa się lub łagodzi doraźne, codzienne trudności gospodarcze. Tego rodzaju „program" nie dba o ogólne założenia, o „ideologię": gdy życie wysunie jakieś jaskrawe niedomaganie, szuka się sposobów by mu zapobiec. Idzie się od przypadku do przypadku, stosuje empirycznie różne metody, przerzucając od jednej do drugiej, bardzo często chce się pogodzić wyraźne sprzeczności.

Na taki tylko „program" zdobyła się dotychczasowa polityka gospodarcza Polski. Ta metoda ujmowania naszego gospodarstwa zemściła się srodze w dobie t. zw. kryzysu. Pojęliśmy gospodarstwo Polski jako fragment gospodarstwa światowego. Poprawa miała przyjść wtedy, gdy kryzys na świecie się skończy. Nikt nie może przeczyć zależności naszego gospodarstwa od tego, co się na świecie dzieje. Ale niezależnie od powszechnych wahań koniunktury, istnieją nasze własne wielkie trudności, istnieje szereg ciężkich zagadnień, które domagają się swoistego rozwiązania. Polska musi odnaleźć własną drogę. Wyczekiwanie poprawy na świecie nie uzdrowi naszego gospodarstwa. A już wielkim błędem było pojmowanie naszego kryzysu. jako kryzysu „nadprodukcji", gdy podstawy naszego życia trawi właśnie jej niedostatek.

A powtóre, mówiąc o programie, ma się na myśli praktyczne wskazania w polityce gospodarczej, wynikające z określonego poglądu na ustrój społeczno-gospodarczy i jego ewolucję. Taki program, to wyraz określonej „ideologii", jeżeli można użyć tego już zbanalizowanego terminu.

Polska z całem swem gospodarstwem znalazła się po wojnie w tak nieuporządkowanych warunkach, tyle było pozostałości dawnych zaborów, tyle obcych naleciałości, że nie może swego życia gospodarczego oprzeć na „dojutrkowym" programie, lecz musi sięgnąć głębiej, ustalić wielkie linie przewodnie działania. Nie znajdzie ich w oparciu się o stare szkoły ekonomiczne, o wytarte już szablony myślenia i ani liberalizm, ani socjalizm nie dadzą nam punktu wyjścia.

Jednakże na Zachodzie Europy doszły do władzy w kilku państwach kierunki narodowe i niektóre już zdołały tę władzę utrwalić. Czy ustalił się jakiś narodowy system gospodarczy, którego podstawy moglibyśmy przejąć, dostosowując oczywiście jego praktykę do naszych warunków? Ruch umysłowy w tej dziedzinie jest duży. Istnieją poważne próby, by stworzyć coś nowego, by dać właściwy wyraz idei narodowej w gospodarstwie. Ludzie, którzy biorą powierzchownie ideje Zachodu, znaleźli, w swem przekonaniu, gotowe wzory, godne naśladowania. Mówi się o korporacjonizmie i o ustroju stanowym państwa.

W rzeczywistości ustroje narodowe na Zachodzie nie wykształciły systemu gospodarczego, któryby występował w dojrzałej, względnie choćby jednolitej postaci. Istnieje duża rozbieżność metod organizowania gospodarstwa narodu; ten sam kierunek narodowy zmienia niekiedy, w swej ewolucji, te metody.

Włochy faszystowskie rozpoczęły swe dzieje od zasad gospodarczych, bliskich liberalizmowi ekonomicznemu. Rzuciły hasło popierania kapitału, prywatnej inicjatywy, zerwania z państwową przedsiębiorczością, redukcji państwowej biurokracji. Obecnie etatyzm we Włoszech doszedł do największego rozkwitu, kontrola państwa nad gospodarką nie ma niemal granic. A równocześnie w Portugalii opiera się powodzenie nowego ustroju na sukcesach gospodarczo-finansowych, osiągniętych dzięki oszczędności w budżecie, zerwaniu ze zbytnią ingerencją państwa w gospodarstwie, i kontroli nad gospodarką finansową tegoż państwa. A dalej uważa się często za wyraz kierunku narodowego w gospodarstwie dążenie do tak zw. autarkii (samostarczalności); a niezbyt dawno temu Mussolini był protagonistą wolności handlu międzynarodowego, wszelkie bariery celne uważał za klęskę gospodarstwa światowego.

Może jednak te wahania i sprzeczności pochodzą ze specyficznych niedomagań kryzysowych, a natomiast za niemi kryją się głębsze kierunki ideowe o wyraźnej fizjognomii? Wspomnieliśmy o korporacjonizmie. Oficjalną zasadą ustroju społeczno-gospodarszego Włoch jest korporacjonizm. Nawiązuje on do tradycyj średniowiecza. Średniowieczny korporacjonizm wyrósł na tle słabości państwa; zorganizowane w cechy, gildie i t. d. żywioły społeczne opanowały gospodarstwo i wyeliminowały państwo z gospodarstwa. A tymczasem dzisiejsze Włochy opierają się na silnej władzy centralistycznego państwa, dalej na bezpośredniem prowadzeniu przedsiębiorstw przez państwo, co nie godzi się z ideą korporacjonizmu. Państwo włoskie nie stanowi związku korporacyj, lecz rządzi korporacjami, które jeszcze nie przybrały ostatecznej formy. Istotą jest dyktatura partii faszystowskiej, dla której korporacje są narzędziem działania.

A ustrój stanowy państwa? Najpierw trzeba się porozumieć co do tego, co przez ten ustrój rozumiemy. Albo organizacja stanowa jest podstawą ustroju politycznego, w niej tkwią ogniska władzy w państwie, albo też organizacja stanowa jest tylko organizacją społeczno-gospodarczą, regulującą warunki życia w poszczególnych działach produkcji. W jednym i drugim przypadku zagadnienie ustroju stanowego przedstawia się inaczej. Nigdzie nie zarysowało się jeszcze w sprecyzowanych kształtach. Najwięcej temu zagadnieniu poświęca się uwagi w Niemczech; ale i tam są tylko próby, a przedewszystkiem nie znaleziono jeszcze podstaw, by pogodzić dominującą ideę „wodzostwa", przeprowadzaną w całem życiu, z organizacją stanową.

Nie znajdziemy gotowych, skrystalizowanych wzorów. Nie ułatwiajmy sobie zadania przez recepcję mętnych jeszcze formuł, a źródeł naszego programu szukajmy u siebie, w nas samych i na naszej ziemi. Polska ma odrębne warunki bytu od warunków państw zachodnich; ma inne tradycje, względnie inny brak tradycyj, ma swoje ubóstwo, którego nie zna Zachód, ma nieproporcjonalnie dużo obcego kapitału, a przedewszystkiem ma żydów w swem gospodarstwie. Wejdźmy jak najgłębiej w naszą rzeczywistość i na jej podstawie budujmy programy. Nie możemy zamykać oczu na to, co się w świecie dzieje, tracić związku z wielkiemi prądami dziejowemi Zachodu, ale ostatecznie nacjonalizm polski nie potrzebuje szukać u obcych swych ideowych założeń.

Z drugiej strony nie wolno nam urzędzać naszego gospodarstwa tak, jakbyśmy żyli w niedostępnej fortecy. To nie frazes, lecz bardzo poważne niebezpieczeństwo, które płynie z tendencyj, pochodzących z bardzo szlachetnych i romantycznych źródeł, lecz w gruncie rzeczy bardzo szkodliwych. Niektórzy ludzie hołdują pewnego rodzaju romantyzmowi ubóstwa. Patrzą z pogardą na współczesną technikę, na tempo w jakiem idą naprzód inne narody. Wydaje im się, że możemy urządzić się u siebie, tak, jak nam się żywnie podoba; że możemy odwrócić się od współczesnego industrializmu, a kultywować spokojnie polską biedę, która chroni nas od materializmu życiowego i od rujnującej nerwy współczesnej cywilizacji.

Czasami poprostu gloryfikuje się niski stan potrzeb naszego społeczeństwa i widzi w tem wyższość nad innemi narodami. Niewątpliwie wytrzymałość na biedę w pewnych warunkach jest wielką zaletą życiową. Ale nie możemy dążyć do stabilizacji biedy, kultywować bardziej pierwotnych narzędzi życia gospodarczego; a to nie w imię tego, że dobrobyt społeczny jest dobrodziejstwem, lecz poprostu w imię utrzymania niezależności politycznej naszego narodu.

Nikt nie podaje w wątpliwość potrzeb obrony kraju. A zabezpieczenie tej obrony, to nietylko dzielna i liczna armia i gotowość oddania życia w wojnie, lecz—czy chcemy czy nie chcemy—nowoczesna technika produkcyjna. To motoryzacja kraju, to wielki przemysł hutniczy i chemiczny, to posiadanie nowoczesnego aparatu pieniężnego.

Przed lekceważeniem techniki i gospodarstwa, które jest narzędziem obrony kraju, ostrzegają nas przedewszystkiem nasze dziejowe doświadczenia. Można w rozmaity sposób pojmować przyczyny upadku Polski. Ale jednym z walnych czynników, które na ten upadek się złożyły, które sparaliżowały wysiłki naprawy, podjęte w drugiej połowie w. XVIII, był czynnik naszej niższości ekonomicznej w porównaniu z naszymi sąsiadami. Polska wieku XVI szła w pierwszym szeregu państw europejskich. Potem odsunęła się od międzynarodowego współzawodnictwa. Nie miała ambicyj kolonialnych ani floty, nie stworzyła własnego handlu morskiego, wyrzekła się nowoczesnego przemysłu, handel wewnętrzny oddała żydom. Ugrzęzła w ospałej cywilizacji ziemiańskiej wtedy, gdy w związku z merkantylizmem na Zachodzie i na Wschodzie (Rosja Piotra Wielkiego) powstawał nowoczesny przemysł i handel. I pod koniec w. XVIII nie mogła stworzyć stutysięcznej armii przedewszystkiem z braku zasobów materialnych. Dopiero w XIX wieku Lubecki zrozumiał skuteczność polityki gospodarczej, która może narodowi dostarczyć fabryk broni.

Materialistyczna cywilizacja dzisiejsza niesie z sobą wiele moralnych niebezpieczeństw, przed któremi trzeba się bronić. Lecz niebezpieczeństwa te tkwią nie w samym fakcie bogactwa, w technice wytwórczej, a w zużytkowaniu bogactwa i psychicznym do niego stosunku. Romantyk może marzyć o ustroju, w którym kominy fabryczne nie będą zatruwały powietrza, a warkot maszyn nie będzie zakłócał sielankowej ciszy. Ale nie wolno nam gasić wysokich pieców, bo te piece produkują narzędzia

obrony przed wrogami, uzbrojonymi od stóp do głów.

Nie wolno nam lekceważyć i niedoceniać roli czynnika ekonomicznego w życiu narodu; myśleć wyłącznie o lepszym, sprawiedliwszym rozdziale bogactw, gdy tego bogactwa jest za mało. Nie wolno nam lekceważyć pospolitych, poziomych cnót ekonomicznych.

Zagadnienie programu gospodarczego Polski jest bardzo rozległe. Program, to nie szereg haseł, które można tłumaczyć w ten lub inny sposób. To nie gotowa, zamknięta całość, której wskazania stosują się zawsze i wszędzie. Życie jest zmienne, wysuwa wciąż nowe trudności i program musi się zmieniać. Ale trzeba zbudować trwałe jego podstawy, i to przez ogarnięcie całej rzeczywistości polskiej. Ideje programowe muszą być w zgodzie z faktami, z realnemi możliwościami, bo w przeciwnym razie zawisną w próżni. Fakty bez przewodnich idej niczego nie nauczą. Ponad faktami musi górować wola narodu, która oddziaływa w określonym, świadomie obranym kierunku i tworzy gospodarstwo narodowe nietylko z nazwy, lecz i treści.

ROMAN RYBARSKI

O DUCHA ŻOŁNIERSKIEGO W SZEREGACH REZERWY

WYDANA niedawno praca ppłk. dypl. M. Porwita p. t.: „Duch żołnierski" — skłonić musi każdego, kto tylko ją przeczytał, do głębszego zastanowienia się nad zagadnieniami tam poruszonemi.

Przeznaczona jest przedewszystkiem dla oficerów służby czynnej — daje ona wskazania, jak wyrobić w żołnierzu naszym wartości bojowe, pozatem podkreśla stale znaczenie czynników duchowych, tak często niestety pomijanych lub niewłaściwie rozumianych.

Walczy z rozpowszechnioną modą wygłaszania „budujących" przemówień, gdyż uważa, że „przez mówienie kazań, można tylko mówienia kazań nauczyć", żąda natomiast uwzględniania wychowawczych momentów w każdej czynności w wojsku podejmowanej, domaga się stwarzania żołnierzowi jaknajwiększej liczby przeżyć, gdyż te jedynie zapadną w duszę człowieka i urobią ją dla zadań przyszłości.

Gdy zastanowić się nad obszernym materiałem wychowawczym i nad wysokim poziomem duchowym, jakiego się autor domaga od dowódców, tych którzy na wojnie mają zwyciężać i innych do zwycięstwa prowadzić, mimowoli ciśnie się natrętne pytanie: czy nasz korpus oficerów rezerwy. ten, który w przeważającej liczbie zapełni stanowiska niższych dowódców liniowych, stoi choć w części na poziomie wymaganym przez autora?

Nie idzie tu o znajomość metod szkolenia i wychowania żołnierza — to zarówno w czasie pokoju jak i wojny spoczywać będzie w rękach kadry zawodowej — tu chodzi o to, by tego ducha żołnierskiego, którego w szeregowym wyrabia racjonalne wychowanie w czasie służby czynnej, posiadali — w stopniu wyższym, nagle powołani, w chwili mobilizacji, oficerowie rezerwy.

Czy istnieje i czy wogóle istnieć może jakaś metoda, któraby te wartości wyrobić mogła w ludziach zajętych pracą zarobkową i kłopotami życia codziennego?

Autor umieszcza w swej pracy rozdział mówiący o „drogach wychowania poza wojskiem", w którym powiada, „jeśli to ustosunkowanie się człowieka do idei wojny ma być pełne, jeśli naród ma zasługiwać na dobrego żołnierza, czynnikiem kierowniczym wychowania żołnierskiego musi być państwo". I słusznie załatwia się krótko z tem zagadnieniem, w tę dziedzinę nie sięgają możliwości oddziaływania oficera zawodowego, tem jednak ważniejsze jest zagadnienie dla tych organów, które na tę dziedzinę wpływ mają.

Tu wypadnie się zastanowić nad drogami doboru naszych oficerów rezerwy piechoty — piechotą bowiem głównie zajmuje się autor, jako bronią, na której główny ciężar walki spoczywa.

W obecnej naszej organizacji wojskowej, kandydat na oficera rezerwy przechodzi w okresie służby czynnej przez intensywne szkolenie i wtedy winien nabyć także niezbędnych cech duchowych dowódcy. Powoływany następnie na ćwiczenia rezerwy, musi przypomnieć sobie i uzupełnić nabyte poprzednio wiadomości techniczne i taktyczne, dążyć do odzyskania wprawy w dowodzeniu, jednak krótkie okresy ćwiczeń, nie dadzą możności odzyskania „ducha żołnierskiego", o ile dwuletnie przerwy, tego ducha go pozbawiły.

Należy zastanowić się nad trybem życia naszych oficerów rezerwy, by módz zaryzykować twierdzenie, o zatracie — przez pewną ich liczbę — cech duchowych dowódcy.

Biorąc za podstawę powojenne roczniki, tworzące obecnie większość oficerskiego korpusu rezerwowego, należy rozważyć: jakie przemiany przeżywa młody człowiek, w okresie przed — i poborowym.

Ogół „jednorocznych", to młodzież ucząca się, lub też bezpośrednio po studiach. Cechuje ją rozmach, zaufanie w własne siły, często pewna zaczepność, tak wartościowa z punktu widzenia wojskowego, oraz pewna nieznajomość życia i beztroska.

Takie nastawienie sprzyja i wyszkoleniu i wyrobieniu cech żołnierskich.

Młodzież ta, po zdobyciu tytułu aspiranta oficerskiego i po wyjściu z wojska, wchodzi w życie i ma przed sobą następujące drogi: karierę urzędnika państwowego i prywatnego, zawód wolny, wreszcie pracę samodzielną, lub zbliżoną do samodzielnej, w małem lub średniem przedsiębiorstwie przemysłowem czy handlowem.

Obierający karierę urzędniczą młodzieniec, zostaje urzędnikiem manipulacyjnym, państwowym lub prywatnym, na takich bowiem stanowiskach tkwi główna masa oficerów rezerwy. Praca jego ogranicza się do wykonywania kilku funkcyj i to

im instytucja większa, tem te funkcje są mniej skomplikowane, bardziej monotonne, papierowe — w konsekwencji zwężające horyzont myślowy i duchowy człowieka.

Szuka taki człowiek ratunku przed wyjałowieniem w zainteresowaniach pozasłużbowych, czy to artystycznych, czy sportowych, kiedyindziej znowu w mniej wybrednych wzruszeniach, nie daje mu to jednak tych przeżyć, jakie są udziałem zarówno człowieka walczącego w polu, jak i walczącego o byt.

Poza jednorazowym wysiłkiem woli — w chwili starania się o posadę urzędnika, zwolniony jest, jeżeli nie od troski, to przynajmniej od zabiegów o codzienny chleb. Praca sama nie wymaga wysiłku woli, ani też pobierania decyzyj — od tego jest szef, czy naczelnik oddziału, który rozdziela pracę, decyduje i kontroluje, a w trudniejszej sytuacji każe podwładnemu przychodzić po radę.

System pracy bardzo celowy z punktu widzenia interesów instytucji, przytłumia wiele cech niezbędnych dla żołnierza, a tem bardziej dla dowódcy.

Jak więc dadzą sobie radę ci ludzie, wrośnięci w szablon, w chwili gdy przyjdzie im działać w polu?

Obok nich stanie samodzielny przedsiębiorca. Ten w czasie pokoju zdany wyłącznie na własne siły i zasoby — mimo ograniczenia się do pewnego działu produkcji czy handlu, musi mieć szeroki horyzont, musi mieć wolę działania i zdolność powzięcia decyzji. Dla niego każde uchybienie to zmniejszenie zasobów, tych, którego żywią; to też obok woli działania musi posiadać ostrożność i zdolność przewidywania. Musi być fachowcem w swej dziedzinie, musi być równocześnie znawcą ludzi przy doborze personelu, musi być administratorem wobec władz państwowych.

Kto zna walkę konkurencyjną drobnych przedsiębiorców, ten przyzna, ile w niej podobieństwa z walką orężną, zwłaszcza w dziedzinie przeżyć duchowych.

W ten oto sposób wyrabia się typ zaczepny, który w produkcji sięgać będzie po coraz to nowe gałęzie wytwórczości, tak iż nieraz społeczeństwo lub państwo zmuszone będą do regulowania wybujałości w tym kierunku.

Codzienna walka o byt, ciągłe pokonywanie przeszkód, niespodzianie wyrastających, wytwarza — u producenta szczególnie — pewną zewnętrzną „chropowatość", zaś „przeżycia" zawodowe tak absorbują jego umysł i nerwy, iż nie potrzebuje on poszukiwać zbytnio za surogatami „przeżyć". Posiadając z konieczności trzeźwy sąd — wypowiada się często w różnych sprawach prosto, ale samodzielnie i najczęściej odmiennie jak lansowane opinie, co mu zjednuje nieraz miano obskuranta.

A jednak ta chropowatość, brak blichtru i cywilna odwaga, ta którą ppłk. Porwit wyżej ceni jak odwagę wojskową, czynią niejednego wytwórcę podobnym do znanych dobrze z czasów wojny, prawdziwych oficerów bojowych.

Nie sięgając do czasów wojennych, w których to czasach zgoła odmienne były warunki doboru oficerów, — można dziś stwierdzić, na ćwiczeniach rezerwy, następujęce kategorie wśród oficerów powoływanych na te ćwiczenia, a to: oficerów pilnych, sumiennych i dających sobie radę w różnych sytuacjach, następnie oficerów pilnych i ochotnych, niestety mało zaradnych, szczególnie w terenie i z oddziałem, wręszcie ludzi niedbałych.

Bez wielkiego trudu da się stwierdzić — ludzie samodzielnie pracujący, przeważają w grupie sumiennych i zaradnych, natomiast mało zaradnymi, choć ochotnymi, pozatem także niedbałymi, są po największej części urzędnicy wszelkich kategoryj.

Grupa określonych jako niedbali, nie składa się wyłącznie z ludzi złej woli, tych jest może nie wielu, pozostała większość to ludzie nawet ochotni, ale nie umiejący zdobyć się na wysiłek woli. W czasie ćwiczeń na mapie, czy też na stole plastycznym, początkowo okazują zainteresowanie, następnie jednak tracą wątek, gubią się w komplikującem się zadaniu i już od tej chwili są dla ćwiczenia tego straceni. W czasie marszów nie umieją się zmusić do wysiłków fizycznych i pchają się, ku zgorszeniu szeregowych, na wszelkiego rodzaju wozy.

Początkowo okazują oni dobre chęci, ale gdy raz i drugi nie zdołają sprostać wymogom, wówczas opuszczają skrzydła i znakomicie powiększają grono patentowanych „łazików".

Represje stosowane przez przełożonych pomagają nieraz, ale co będzie wówczas, gdy oko przełożonego nie będzie mogło sięgnąć, gdy jedynym kontrolerem będzie poczucie odpowiedzialności i sumienie?

W linii bojowej represje nie wystarczą — stwierdza ppłk. Porwit, żołnierz, a tembardziej oficer musi być wychowany. Już dziś ćwiczenia rezerwy ujawniają nam, jak odmiennie wychowane są różne kategorie oficerów rezerwy, a potwierdzają to zarówno oficerowie zawodowi, jak i rezerwowi, umiejący obserwować swych kolegów.

Dziś mamy przed sobą dwie drogi: albo pójść po linii wskazywanej przez zwolenników koncentracji przemysłowej, obojętne, państwowej czy prywatnej, albo też dążyć do upowszechnienia własności.

W pierwszym wypadku, oczekując nadzwyczajnych efektów gospodarczych, równocześnie wychowywać będziemy coraz liczniejsze zastępy ludzi pozbawionych najbardziej wartościowych cech żołnierskich, po to, by następnie wejść znowu na drogę kosztownych a nieudałych prób, doszkalania, czy wychowywania dorosłych ludzi.

W drugim wypadku, gdy uda się wytworzyć silną warstwę drobnych i średnich przedsiębiorców, na zdrowych podstawach pracujących, wówczas życie samo wyrabiać będzie w tych ludziach cechy niezbędne dla żołnierza, a armii przypadnie wówczas zadanie dużo łatwiejsze — bo tylko szkolenie, a nie — wychowanie i szkolenie przyszłych dowódców.

Nasz chłop był zawsze bardzo dobrym i łatwym do urobienia materiałem na żołnierza, nietylko w służbie polskiej, ale i zaborczej. Zdaje się, że te wartości rozwijane w nim są dużo wcześniej przed wcieleniem do szeregów, a to przez system wybitnie indywidualnej i wszechstronnej, choć prymitywnej gospodarki tegoż chłopa. Te same cechy i podświadome pragnienia indywidualnego gospodarowania tkwić muszą także i w innych warunkach narodu—o ile nie skażone zostały obcemi wpływami — i one winny być podstawą, na której oprzeć należy wychowanie wojskowe.

MARIAN PRUGAR

U ŹRÓDEŁ REWOLUCJI HISZPAŃSKIEJ

REWOLUCJA dokonana przez ideologów i spekulantów wskutek inercji społeczeństwa, któremu materjalnie było lepiej za dawnych rządów, niż po przewrocie.

Takie zdanie wypowiedzieli o Francji przedstawiciele szkoły Taine'a (Gaxotte, Funk-Brentano, Lenotre), o Rosji b. profesor uniwersytetu petersburskiego, Nolde („*Ancien régime et la révolution russe*", wyd. Armand Colin, Paryż 1932); taką samą konkluzję zawierają liczne studia o hiszpańskim przewrocie z r. 1931. Świeżo ukazało się w Paryżu, z przedmową P. Gaxotte'a, tłumaczenie z hiszpańskiego książki A. A. Galiano, która jest jednocześnie wyjaśnieniem i jakby fotograficznem zdjęciem wypadków z r. 1930 i 1931, które doprowadziły z nieubłaganą koniecznością do konwulsyj wojny domowej w roku bieżącym (Galiano: „*La chute d'un trône*").

Zdaniem autora, kryzys konstytucyjny wywołany objęciem rządów w r. 1923 przez generała Primo de Rivera, markiza d'Estella, mógł nie przemienić się na kryzys *régime*'u gdyby nie defetyzm osobistości, które Alfons XIII powołał do rządów po ustąpieniu Primo de Rivery na początku roku 1930. Dyktatura przyjęta była z początku przychylnie nawet przez późniejszych jej wrogów; może naprzód działała obawa, nadzieja posunięcia kariery przy pomocy dyktatora, potem zawiedzione nadzieje, obrazy osobiste, ujawniająca się trudność stabilizowania rządów dyktatorskich, skłoniły polityków do liczenia na upadek Primo de Rivery, tembardziej, że zaczęli się spodziewać jednoczesnego upadku monarchii, co zaspokoiłoby już zupełnie ambicje kandydatów na Thiers'ów i Masaryków.

Z książki Galiano podobnie jak ze studiów Carretero (zamordowany niedawno w Madrycie autor pracy: „*Alphonse XIII fut-il un bon roi?*") i Branthôme'a (pseud. autora książki: „*Alphonse XIII cœur de l'Espagne*", wynika, że ofensywa na *régime* była starannie przygotowana już za rządów Primo de Rivery i że twórcami przewrotu stali się ludzie, którym polityczną karierę otworzyła konstytucja z r. 1876. Okazuje się, że jeden z restauratorów monarchii w r. 1874, Canovasy Castello wprowadził Hiszpanię na niewłaściwe tory organizując monarchię parlamentarną na wzór angielski. Galiano nie wyjaśnia przyczyn upadku monarchii parlamentarnej w r. 1923 i niepowodzenia rządów Primo de Rivery (objaśniają to wyżej wskazane książki Carretero'a i Branthôme'a), ale szczegółowo opisuje sytuację w ciągu półtora roku, które poprzedziły wyjazd Alfonsa XIII-go.

Po dymisji generała Primo de Rivery postanowił król nie zwracać się odrazu do starych polityków i powierzył rządy „bezpartyjnemu" generałowi Berenguerowi. Taktyka Berenguera polegała na powstrzymaniu się od wpływu na rozwój sytuacji; był to rząd, który wyrzekł się kierowania losami kraju. Aspirujący do stanowiska prezydenta republiki przywódcy liberałów i demokratów (Zamora, Azana, Melquiades Alvarez), nawet dawni konserwatyści (Miguel Maura), intelektualiści (Unamuno, Ortega, Ayala, Maranon) i przywódcy skrajnej lewicy (Largo Caballero, Quiroga) prowadzili ziętą kampanię na rzecz republiki; szereg obrażonych na króla osobistości chciał niby zachować monarchię, ale usunąć Alfonsa XIII-go („rojaliści bez króla", Sanchez Guerra, Ossoria, Santiago Alba). Na stanowisku lojalnem wobec korony stało do ostatniej chwili kilku dawnych polityków konserwatywnych i liberalnych, jak Bugallal, Alhucemas, Romanones (ten ostatni zachowywał się zresztą b. dwuznacznie i Carretero nazywa go „zdrajcą z V-go aktu"); byli oni zwolennikami przywrócenia anarchizującego kraj systemu sprzed roku 1923. Z przeciwnej strony znajdowali się nacjonaliści d-ra Albinana (hiszpański rodzaj „*Action Française*"). Monarchistyczne Zjednoczenie Narodowe kierowane przez ks. Guadalhorce oraz grupa Aunos'a (dwie ostatnie organizacje utworzone zostały przez zwolenników Primo de Rivery i broniły jego systemu).

Republikańscy politycy i intelektualiści rozporządzali bardzo liczną prasą i kierowali większością młodzieży akademickiej; ich sprzymierzeńcy ze skrajnej lewicy mieli potężną organizację w postaci Narodowej Konfederacji Pracy: „rojaliści bez króla" nie mieli innych sił prócz osobistego wpływu na Alfonsa XIII-go, ale to wystarczyło do odegrania przez nich dużej roli przy podważaniu fundamentów ustroju monarchicznego. Konserwatyści i liberałowie nie reagowali prawie na zaciekłą agitację wrogów *régime*'u; odcinali się tylko z lekka w „*El Debate*" i „*ABC*"; z wielkich organów prasowych tylko „*la Nacion*", dziennik założony przez Primo de Riverę, bezlitośnie wyszydzał opozycję. Opozycja rozpisywała się o „wolności" i „tyranii", o „przywilejach" i „równości obywatelskiej", lewe zaś skrzydło żonglowało sofizmatami marksistowskiemi; domagano się „rządów ludu" i uszanowania „woli ludu", ale jak stronnie to było rozumiane tego najlepszym dowodem postanowienie abstynencji przy zarządzonych po długim zwlekaniu wyborach do kortezów zwyczajnych i, przedewszystkiem, ogłoszenie zwycięstwa republikanów w wyborach gminnych z 12 kwietnia 1931 r., w których wybrano tylko 5 tysięcy ławników republikańskich na 22 tysiące ławników monarchistycznych.

Jak się zachowywał ogół społeczeństwa hiszpańskiego, gdy ważyły się losy *régime*'u? Olbrzymia większość nie przypuszczała, aby naprawdę doszło do przewrotu; dziwiono się i oburzano na absolutną bezczynność generała Berenguera i jego następcy admirała Aznara. Na powierzchni społeczeństwa propaganda republikańska zjednywała dla siebie głosząc, że dzięki republice „nic się nie zmieni", bo rządzić będą dawni ministrowie i parlamentarzyści; straszono warstwy zamożne głosząc, że spokój i zaufanie zapewni tylko odjazd monarchy, a w przeciwnym razie grożą Hiszpanii „krwawe hekatomby". Jak konstatuje Galiano, ministrowie z gabinetów Berenguera i Aznara zachowywali się jak ludzie odurzeni, tolerowali wybryki, na które żaden rząd szanujący się nie pozwoliłby; doszło do tego, że okrzyk „Niech żyje król!" stał się już w monarchii jakby okrzykiem buntowniczym, zaś owacje na rzecz republiki były nietylko tolerowane, ale nawet ochraniane; buntowników wojskowych i członków komitetu rewolucyjnego przedstawiano w prasie rewolucyjnej

jako bohaterów, każdy zamach miał być „wymiarem sprawiedliwości ludowej".

Generał Berenguer ustąpił po roku urzędowania, ale nie rządzenia, odwoławszy, jeszcze przed dymisją, ogłoszone przez siebie wybory do kortezów zwyczajnych. Wtedy król zwrócił się do „kacyka" konserwatywnego Sanchez Guerry. Stary polityk jakby oszołomiony swoją misją zachwiał odrazu poważnie tronem, bo pojechał do więzienia Carcelo Model, aby prosić znajdujących się tam członków komitetu rewolucyjnego o przyjęcie portfelów ministerialnych; ci odmówili i na tem skończyło się groteskowe wystąpienie Sanchez Guerry. Alfons XIII powołał wobec tego gabinet jednoczący kierowników dawnych parlamentarnych stronnictw, którzy deklarowali się jako monarchiści. Najwybitniejszym członkiem nowego rządu był la Cierva, ale dano mu tekę komunikacji, bo energii la Ciervy obawiał się podejrzany spekulant polityczny i giełdowy, hrabia Romanones; członkowie rządu szachowali siebie wzajemnie, intrygowali, tracili czas i energię na układanie list kandydatów do rad miejskich, postanowiwszy poprzedzić wybory do kortezów przez wybory gminne. Admirał Aznar, premier, nie koordynował wcale działalności ministrów, wykwintny akademik, książę Maura, minister pracy uważał, że zadaniem rządu jest przygotować przejście do republiki, generał Berenguer i hrabia Romanones jakby tylko oczekiwali na schwytanie pretekstu, któryby im pozwolił ogłosić klęskę monarchistów i obaj to zrobili na własną rękę zaraz po wyborach gminnych, chociaż zwyciężyli w nich kandydaci monarchistyczni.

Tymczasem król zachowywał niewzruszony spokój i ufność. „Nie jestem modny", powiedział jednej z osobistości ze swego otoczenia, ale nie dopuszczał myśli o usunięciu się. Według Galiano, gdyby po wyborach do rad gminnych został ogłoszony stan wyjątkowy zapobiegający ekscesom, gdyby monarcha odezwał się bezpośrednio do narodu i zarządził bezwłoczne wybory do kortezów, to do republiki by nie doszło. Takich właśnie aktów obawiał się komitet rewolucyjny, co przed wyborami gminnemi został uwolniony po krótkim procesie przed sądem wojskowym, którego członkowie ujawnili wyraźnie, że nie chcą się narażać przyszłym władcom.

W ostatnich dniach *régime*'u, 12 i 13 kwietnia, ministrowie zachowali kompletną bezczynność; tylko hrabia Romanones oświadczył prasie, że sytuacja jest krytyczna, generał Berenguer wysłał okólnik do dowódców okręgów wojskowych całkiem kłamliwie twierdząc: „Przegraliśmy wybory", a premier Aznar, także jakby nie wiedząc o korzystnym dla monarchii rezultacie głosowania, zadeklarował 13 kwietnia: „W sprawie kryzysu mam to do powiedzenia, że lud poszedłszy spać jako monarchista, obudził się republikaninem". Alfons XIII nie był wcale tego zdania i dalszy ciąg zwykłego wieczornego przedstawienia kinematograficznego w pałacu kazał odłożyć na wieczór 14 kwietnia. Ale 14 kwietnia hrabia Romanones rozpoczął likwidację *régime*'u, doradzając monarsze opuszczenie kraju i zgłaszając się na konferencje z komitetem rewolucyjnym, który dotąd bał się represyj, a spostrzegając defetyzm ministrów zażądał wyjazdu króla i jego rodziny.

Na ostatniem posiedzeniu rady ministrów, które odbyło się popołudniu 14 kwietnia, tylko de la Cierva i hrabia Bugallal przekonywali Alfonsa XIII-go, że nie trzeba ustępować. De la Cierva przedstawiał, że nikt nie będzie wdzięczny królowi za wycofanie się, że to szlachetne poświęcenie się będzie kosztowało wiele krwi i łez, że postanowienie opuszczenia Hiszpanii, zamiast ją ocalić, będzie czynem fatalnym, niszczącym wszelki ład i bezpieczeństwo; tak samo w ostatniej chwili argumentował generał Cavalcanti, który przybiegł do pałacu oddając się do dyspozycji króla. Alfons XIII odpowiadał, że już zapóźno, że nie chce rozlewu krwi; natychmiast po wyjeździe monarchy okazało się, jak błędny był taki punkt widzenia. Książe Maura przydał się tylko do zredagowania manifestu pożegnalnego, w którym Alfons XIII stwierdzał, że „mógłby znaleźć środki dla utrzymania swoich królewskich prerogatyw, skutecznie się opierając tym, którzy je atakują", ale „chce się stanowczo odsunąć od wszystkiego co przeciwstawiłoby sobie Hiszpanów w bratobójczej wojnie domowej".

Nie tylko król zawinił, stawiając taką diagnozę i wydając, przez usunięcie się, Hiszpanię namiętnym karierowiczom, którzy zaczęli wkrótce znikać, jak w Rosji książe Lwow i Kiereński, aż po kilku latach żarzenia się doszło do zasadniczej i już nieuniknionej walki bratobójczej, która zakończy się dyktaturą, konieczną i narodową, ale bez porównania ostrzejszą niż rządy Primo de Rivery i po rzeziach i zniszczeniach, których Hiszpania nie znała od czasu najazdu arabskiego. Galiano kończy swoją książkę przytaczając słowa żyrondystki, pani Roland, wypowiedziane na kilka chwil przed jej ścięciem: „O wolności, ileż zbrodni spełniono w twojem imieniu".

L. G.

KONTRASTY

Janowi Rembielińskiemu

I

NIE JEST MOŻEBNE grając na skrzypcach strunę nacisnąć odrazu doskonale. I po postawieniu palca skrzypek zawsze posuwa nim szybko w górę, lub na dół, żeby znaleźć jaknajczystszy dźwięk. Długoletnia praca wprawdzie wytwarza u skrzypków wielką zdolność już z góry odczuwania odległości w jakiej trzeba przycisnąć strunę, żeby uzyskać ten dźwięk, którego się pożąda. Wszelako długoletnia praca rozwija u nich i coraz doskonalsze słyszenie i coraz większe od jakości dźwięku wymagania. Wobec tego po postawieniu palca robi korektę i skrzypek początkujący i wirtuoz, tylko pierwszy czyni to grubo i niezgrabnie, a drugi nadzwyczajnie subtelnie.

Na skrzypcach więc i na wszelkich instrumentach nie mających skali dźwięków ustalonej już z góry, tony koryguje się w trakcie grania.

Aczkolwiek korygowanie to jest niedoskonałością i wynika z niedoskonałości, z niemożności naciśnięcia struny odrazu we właściwem miejscu,

jest mimo to jakgdyby nie złem. Naprawdę twierdzenie to jest dziwne, zawiera w sobie sprzeczność i podważa wiarygodność ludzkiego rozumowania. Oprócz tego widać przecie, że dźwięk korygowany, czyli dźwięk wydobywany ze skrzypiec i z podobnych im instrumentów nawet jest piękniejszy od dźwięku, który odrazu ma swoją doskonałość, czyli od dźwięku instrumentów z ustaloną już z góry skalą, takich więc jak fortepian, klawikord, organy i t. d. Wszyscy czują, że tęn dźwięk jest żywy i ma dużo wyrazu i przypomina śpiew. Zresztą jeśliby skrzypce nie miały piękniejszego dźwięku niż fortepian, toby przecież nie brał nawet nikt ich na serio, bo granie na skrzypcach, które jest przeważnie jednogłosowe, nie byłoby lepsze od grania na fortepianie jednym palcem, a uwzględniwszy ciągłość ich dźwięku — nie lepsze od grania na organach jednym palcem, pojedyńczemi nutami. Skrzypce przypominają śpiew i przy śpiewaniu też dźwięk wydobywa się nie odrazu doskonały, a koryguje się go, bo i w gardle ludzkim niema stopni i przy śpiewaniu też dźwięk wydobywa się wyczuciem i zestraja się go i poprawia się go na poczekaniu. Stąd widać, że korygowanie dźwięku w trakcie grania jest nawet piękne i jest pięknem takich instrumentów jak skrzypce, głos ludzki, wiolonczela i t. d. I oto wielka jest niezgodność rozumu ludzkiego z rzeczywistością (i z samym sobą), bo okazuje się, że niedoskonałość, czyli korygowanie dźwięku w trakcie grania nietylko jest nie złem, ale nawet jest dobrem i daje dźwiękowi życie, ekspresję, bogactwo, pełnię wyrazu.

Można powiedzieć, że dźwięk korygowany jest o tyle piękniejszy od dźwięku doskonałego odrazu, o ile większa jest radość z jednego nawróconego grzesznika, z jednej odnalezionej owieczki, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych.

II

Niedoskonale palec na strunie postawiony — to znaczy postawiony albo za nisko, albo za wysoko. Jeśli jest postawiony za nisko, to korekta polega na szybkiem posunięciu go trochę wyżej, jeśli zaś stanął za wysoko, to ściąga się go szybko ku dołowi. Ale trzeba zapytać się: czy teraz po dokonaniu tej korekty, naprawdę stoi palec już doskonale? Otóż nie, teraz też palec nie stoi idealnie i poprawki i poszukiwania grającego trwają w dalszym ciągu. Jeśli nawet długą nutę ciągniemy smyczkiem, to i tak jeszcze na jej końcu można zawsze przecie jakąś mikroskopijną poprawkę zrobić, żeby dźwięk był jeszcze piękniejszy. Można orzec, że po dokonaniu tej pierwszej korekty palec stoi jeszcze źle. I nawet jeszcze lepiej można oświadczyć, bo można oto zdecydowanie określić w jaki sposób źle właśnie palec stoi, na czem wadliwość postawienia jego polega. A mianowicie: jeśli przedtem palec stanął za nisko, to obecnie, robiąc korektę, popychamy go trochę za daleko ku górze i stoi on teraz nieco za wysoko, jeśli zaś odwrotnie zdarzyło się tak, że palec dotknął struny wyżej niż trzeba, to teraz ściągamy go odrobinę zanadto na dół i zostaje on umieszczony troszeczkę niżej od tego punktu, w którymby był ton czysty idealnie. Dzieje się to tak, bo grający, korygując nutę, koryguje przesadnie i usłyszawszy fałsz reaguje w podrażnieniu gwałtownie i pożąda kontrastu, nadkompensacji. Jeśli przyjmiemy, że pierwotnie palec dotknął struny za nisko, to po pierwszej korekcie znajdzie się on za wysoko. Teraz podrażnione nerwy grającego robią korektę drugą i ściągają palec zanadto na dół, znów trochę poniżej punktu idealnego, lecz zatrzymują go jednak w większem zbliżeniu od tego punktu, niż to było na początku w chwili dotknięcia. Po tej korekcie drugiej następuje trzecia i umieszcza palec znowu trochę za wysoko, po trzeciej przychodzi czwarta, piąta, szósta i t. d. Z analizy tej widać, że dźwięk wydobywany na skrzypcach nie jest jednolity, a składa się z całego szeregu szybko następujących po sobie dźwięków wyższych i niższych, z dźwięków za wysokich i za niskich, z dźwięków przeciwstawiających się sobie wzajemnie, z dźwięków kontrastujących ze sobą, z kontrastów.

W i b r a c j a — to ogólnie znane drżenie ręki u grających skrzypków, a pochodzi właśnie stąd, że dźwięk skrzypiec drży już i tak, bo wydobywa się szeregiem poprawek. Ale wibracja to drżenie nadmierne, umyślne, większe niż potrzeba i jest to podkreślenie niejako techniki wydobywania skrzypcowego tonu. Wibracja jest pięknem i tysiąc przykładów można pokazać, że piękno w sztuce uzyskuje się z podkreślenia techniki (konstrukcji, celowości, właściwości materiału i t. d.), dajmy na to ładny ornament jasnych plam na tle ciemnego drzewa na rogach chat polskich, powstający dzięki malowaniu końców spiłowanych belek (szczegół konstrukcyjny) wapnem lub bladą ultramaryną. Ale komentarz niniejszy służy tylko dla tego, by jeszcze raz utwierdzić prawdę, że dźwięk skrzypcowy nie jest jednolity, a składa się z szeregu dźwięków wyższych i niższych, z dźwięków za wysokich i za niskich, z dźwięków kontrastujących, z kontrastów.

W związku z powyższem pożytecznie jest wypowiedzieć następujące prawo ogólne, które dotyczy się różnorodnych poczynań ludzkich, mianowicie: w wypadkach gdy nie można utrafić, działa się przez szereg utrafień błędnych, lecz leżących kontrastowo po jednej i po drugiej stronie punktu poszukiwanego. Ale człowiek nie jest w stanie utrafić doskonale w o g ó l e i dlatego działanie kontrastami jest istotnem jego działaniem i dlatego naprzykład w ludzkiem rozumowaniu spotyka się zdania dwa (albo więcej) zaprzeczające sobie, a jednocześnie oba (albo więcej) jakgdyby prawdziwe, co już zdarzyło się zresztą i w niniejszym artykule, a co się nazywa naogół takiemi słowami jak: antynomia, paradoks i t. d. Mówi się więc naprzykład i to, że nie będziesz przysięgał ani na niebo ani na ziemię, ani na Jeruzalem, ani na głowę swoją i mówi się też i to, że trzeba być z a p r z y s i ę ż o n y m i święcie wierzyć w słowa zakonu i wierzyć, że ziemia przeminie i niebo przeminie, ale ani jedna kreska ze słów tych, ani jedna jota zmieniona nie będzie. Kto wie, może i filozof niemiecki Hegel usiłował myśleć w podobny sposób, czyli o zasadzie kontrastów, gdy mówił o swych tezach i antytezach.

Oprócz tego można wyrazić się, że świat p r z e s n u w a s i ę jakgdyby kontrastami.

Bo Żydom [1]) przedewszystkiem, a nie komu

---

[1]) „Żyd" pisze się wielką literą wówczas gdy mowa o Żydach z okresu starożytnego, t. zn. z okresu gdy byli narodem. Dzisiaj często popełnia się błąd nawet w pismach narodowych, używając wielkiej litery w odniesieniu do żydów nowoczesnych. Oczywiście, nie jest wykluczone, że sjonizm z pomocą pięści narodowców polskich (i naturalnie z pomocą Boską) przesiedli żydów gdzieś na własne teryto-

innemu polecono uwierzyć, że Bóg jest Chrystusem, a zawsze przedtem przez długi czas, przez wiele wieków koniecznie wmawiano w nich, że Bóg jest za wielki, zanadto olbrzymi i że nie można go widzieć i że jest kompletnie duchem i niedostępną abstrakcją, przez wiele wieków tępiono bezlitośnie wszelkie próby zrobienia wizerunku, zabijano za najnaturalniejsze pragnienie zrobienia obrazu, zrobienia jakiejkolwiek zmysłowej pomocy, tylko u Żydów wyjątkowo u Żydów utrzymywano niewidzialność Boga, a wszędzie indziej, na wschodzie i na zachodzie we wszystkich innych narodach było inaczej i nie było tego, a owszem na całej ziemi robiono sobie Bogów i bożków i demonów i cokolwiekbądź z kamienia, złota, drzewa, czy bronzu w dowolnych ilościach — i oto właśnie Żydom przedewszystkiem, a nie komu innemu polecono potem uwierzyć znienacka, że Pan Bóg, czyli, że ta gwiazda i że ta daleko jeszcze bardziej daleka i niedostępna rzecz, niż gwiazda i daleko bardziej pusta, niż spomiędzy gwiazd pustka i otchłań, że rzecz ta właśnie okazuje się tutaj, że to jest ciało, że ma ręce, twarz, oczy, włosy, krew, że chodzi, że ma stopy, od których odciskają się ślady na piasku, że gdy stanie w słońcu, to cień pada od niego na ziemię, pada tak jak od człowieka, jak od domu, jak od drzewa, jak od słupa, jak od konia, osła lub psa, że je, że pije, że mówi, że pokrywa się od uderzeń sińcami, że woła niemal jak dziecko bezbronne w rozpaczy. Spozierając na to można wyrazić się, że smuga świata snuje się kontrastami, że ścieżka pańska tak jak biała szosa na stromej górze biegnie raz po raz w prawo i w lewo zakosami. Łatwo też jest zauważyć, że to jest bardzo dobre i że reżyseria świata naprawdę bardzo dobrze spełnia swoje zadanie, bo dobrze poucza ludzi na ziemi, czem jest to, co się nazywa Pan Bóg. Bo chyba tylko w ten sposób, czyli działając na ludzi kontrastami i wmawiając w nich przez kilka wieków, że Pan Bóg to niedostępna wzniosłość, czystość pustki, abstrakcja, duch, otchłań, przepaść i t. d., a potem wmawiając w nich, że to krew i ciało, że to jest ciepło lepkiej krwi, chyba więc tylko w ten sposób udało się wmieścić w ich pojęcie Pana Boga dwie powyższe nie wmieszczające się ze sobą rzeczy. Wprawdzie i dzisiaj też nikt nie wie, co to jest Pan Bóg, ale w każdym razie można powiedzieć, że poucza się ludzi na ziemi bardzo umiejętnie, jak przez dobrze wykwalifikowanego pedagoga. Bo żeby powiedzieć ludziom odrazu wszystko tak jak jest, toby napewno nic nie zrozumieli. Żydom wytrenowanym w abstakcyjności było bardzo trudno uwierzyć, że Chrystus jest Bogiem i najlepsi z nich palce musieli do rany wkładać, ale właśnie na tej trudności pochodzącej z potrzeby połączenia w jedno tego przepaścistego kontrastu abstrakcji i krwi wartość ich wiary polegała. Widzimy, że w innych narodach nie było takiego dramatu, a gdzieniegdzie nawet wiara przyjmowała się zbyt łatwo. Tak więc w Dziejach Apostolskich w rozdziale XIV-ym jest napisane, że apostołów Pawła i Barnabasza obwołano w jakiemś mieście bogami odrazu, Merkuriuszem i Jowiszem za to tylko, że uczynili oni tam cud jakiś swoim zwyczajem. Nic dziwnego, że to stało się tam, gdzie zza każdego krzaczka wyzierały bóstwa marmurowe pokryte słońca plamami i łatwo zrozumieć jaką wartość miało nauczanie Żydów abstrakcji i jaką wartość miało zjawienie się właśnie u nich ciała.

Na zakończenie należy zwrócić uwagę, że choć i nauczanie ludzi odbywa się, jak już powiedzieliśmy, rzeczywiście w sposób doskonały i lepiej ich nauczać chyba nie można, to jednak na przykładzie żydów nieszczęsnych i pogardzanych można widzieć, że stawia się ludziom, kto wie, może i trochę za wielkie wymagania i może niedostatecznie się liczy z ich słabemi ludzkiemi zdolnościami i dlatego powinniśmy się bać na przyszłość i strzec się, żeby i na nas nie przyszło kiedyś to, co przyszło na żydów i powinniśmy prosić posłusznie Opatrzność w imieniu nas wszystkich i tychże żydów też, żeby traktowała nas o ile można łagodniej i żeby zachowała nas na przyszłość przed zbyt trudnemi, zbyt przepaścistemi kontrastami.

LEON MACIAŃSKI

---

rium i umożliwi im godziwe bytowanie i zrobi z nich naród. Wówczas będzie się znowu pisać o nich wielką literą. Tymczasem jednak żydzi to plemię koczownicze i pasorzytnicze tak jak cyganie i tak samo śmiesznie jest pisać słowo „żyd" przez wielkie „Ż", jak słowo „cygan" przez wielkie „C".

ALKAZAR

Bolszewicka w Toledo zaraza:
Już nie Chrystus tu panem, lecz Lenin!
Broni tylko się jeszcze Alkazar,
Jasna góra nad mrokiem złych spienin.

Maurytańska twierdzo Alkazaru,
Jakiż zaszczyt ci przypadł w udziale,
Że wśród szaleństw i bluźnierstw bezmiaru
Krzyż Chrystusów zatknęłaś na wale!

W zamku broni się garstka rycerzy,
Tłuszcza do nich: poddajcie się! woła,
Bo, gdy wojsko do szturmu uderzy,
I wasz Bóg was ocalić nie zdoła!

Więc wzywamy czerwonych dział grzmotem:
Hołd oddajcie rządowi w Madrycie,
Skłońcie karki przed sierpem i młotem,
Może wówczas darujem wam życie!

— Darmo kusisz, plugawy oprawco,
Życiem w hańbie, gdy kraj we krwi kona,
Nasz rząd w Burgos—on będzie nam zbawcą,
A wam tylko: odpowiedź Cambronne'a!

Rząd madrycki się z piekłem sprzymierzył,
Jakże wchodzić tu z nim w rokowania?
Bóg nam honor ojczyzny powierzył:
Raczej śmierć! — ale *viva España!*

Tak odrzecze ze szczerą pogardą
Bohaterskiej dowódca młodzieży,
Sam bohater, pułkownik Moscardo,
A wróg nowy weń pocisk wymierzy.

— Hej Moscardo! twój syn jest w niewoli,
Zginie marnie burżujski sokolik!
— Syn mój umrze, gdy Bóg mu dozwoli,
Tak jak Hiszpan i prawy katolik.

Myśmy wszyscy tu na śmierć gotowi,
Lecz wierzymy, że zginiem nie marnie,
Nasze życie służyło krajowi,
Niech mu służą i śmierć i męczarnie.

Bombardujcie, niech baszty się walą,
Starą twierdzę dynamit niech kruszy,
Legniem w gruzach, gdy nas nie ocalą,
Lecz za życie nie sprzeda nikt duszy!

Cóż my?—nic! w proch obróci się ciało,
Śmierć to tylko jest Amen po Credo,
Lecz z popiołów okrytych tu chwałą
Wskrześnie znów Alcazar de Toledo!

. . . .

W górę serca! już odsiecz się zbliża,
Już czerwonych ciemięzców rozgania,
Alkazarze, zwycięża znak Krzyża!
Bogu chwała i *viva España!*

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Antologia liryki francuskiej. — P. Napierski jako tłumacz. — Maurras i France. — Jedność duchowa narodu a bogactwo i różnorodność jego twórczości.

LEŻY przedemną ładnie wydany tom p. t. „Lirycy francuscy" [1]), sto przekładów utworów poetyckich, od Aloysius'a Bertrand'a i Baudelaire'a po chwilę dzisiejszą. Jako tłumacz i autor not bibliograficznych figuruje p. Stefan Napierski: nazwisko jakby pachnące kosodrzewiną, barwne jak haft zakopiańskich serdaków, dźwięczące melodią „zbójnickiego". W rzeczywistości autor nie jest harnasiem, ani potomkiem wodza buntu góralskiego za czasów ostatniego Wazy Pochodzi z równin, jest przedstawicielem znanej w sferach gospodarczych stolicy, kupieckiej rodziny Eigerów.

Nie zamierzam pisać krytyki tej książki, oceniać w sposób systematyczny ani biegłości artystycznej tłumacza, ani jego uzdolnień jako poety, ani trafności dokonanego przezeń wyboru. Ograniczę się do przytoczenia jednego wiersza: Anatola France'a „Do Charles Maurras'a", — wiersza, którego tekst francuski mam właśnie pod ręką. Oto przekład p. Napierskiego:

„Nad brzegiem nurtu, który blaskiem okwiecony,
Na gościńcu antycznym, kędy starzec morza
W gaju, gdzie pień oliwek drga modro-zielony,
Ujrzał, jak w płaszczu niebios stąpa Panna boża,
Zrodziłeś się. Dzieciństwo szczęsne, czułość świeża,
Wdychały dech latyński, karmiący przeźroczą
Myśl, by w rytmie wypukle jawiła się oczom.

Wśród świątyń pobrzeża
Gdzie krzewy z soli w piaskach zasypują głogi
Jak kunsztowne składać apologi,
Dumałeś o Maurras'ie; a bogi krajowe
Wygnane, oraz Bóstwo Magdalen cierniowe
Miłowały cię: Sylen melodyjnych wiosen
Udzielił ci piszczałki wraz z organem sosen,
Aby głos twój podtrzymać, który błogie bole
Śpiewa i Grodu głosi święcone zakole,
Harmonię, boską Miłość, tę strażniczkę zniczy,
Oraz śmierć co jej równa w słodyczy".

Oto zaś oryginał Anatola France'a:

„Au bord des eaux de lumière fleuries
Sur l'antique chemin où le viellard des mers
Entre les oliviers de la vierge aux yeux pers,
Vit dans leur manteau bleu passer les trois Maries,
Tu naquis. Ton enfance heureuse a respiré
L'air latin qui nourrit la limpide pensée
Et favorise au jour sa marche cadencée.

Le long du rivage sacré
Parmi les fleurs de sel qui s'ouvrent dans les sables,
Tu méditais d'ingénieuses fables,
Charles Maurras; les dieux indigétes, les dieux
Exilés et le Dieu qu'apporta Madeleine
T'aiment; ils t'on donné le roseau de Silène
Et l'orgue tant sacré des pins mélodieux
Pour soutenir ta voix qui dit la beauté sainte,
L'Harmonie, et le choeur des Lois traçant l'enceinte
Des cités, et l'Amour, et sa divine soeur,
La mort qui l'egale en douceur".

A teraz niechże czytelnik sam zestawi oba wiersze, zdanie po zdaniu, niech ujrzy jak np. „drzewa oliwkowe" („*oliviers*") zmieniły się na „pień oliwek modro-zielony", który w dodatku „drga" (u France'a „modro - zielonemi" są oczy dziewicy), jak „Trzy Marie" skomasowały się (co za cenne uproszczenie!) w jedną „Pannę bożą", jak „baśnie" („*fables*") stały się najniespodziewaniej... „apologami" (?!), jak „święte piękno" („*beauté sainte*") przełożone zostało jako „błogie bole" (!), „święty brzeg" jako „świątynie (?) pobrzeża" i t. d. i t. d. Niech spróbuje zrozumieć co może znaczyć: „gdzie krzewy z soli w piaskach zasypują głogi" (skąd, u licha, te „głogi" się wzięły?), porówna ile z tekstu francuskiego zostało wogóle pominięte i niech zachwyci się takiemi poetyckiemi dodatkami, jak przy słowie „Miłość" dorzucenie przez tłumacza: „tę strażniczkę zniczy", przy Sylenie — „melodyjnych wiosen" (?) itp. Niech podziwia zręczność i prostotę takich wyrażeń jak „w płaszczu niebios" (po francusku: „w błękitnym płaszczu"), jak „Bóstwo Magdalen cierniowe" (po francusku: „Bóg Magdaleny"), jak „Grodu głosi święcone zakole" (po francusku: „prawa zakreślające granice miast") itd. Oj zakole to, zakole...

— — — — — — — — — — — —

Mógłbym dalej prowadzić analizę dzieł p. Stefana Napierskiego, by dojść prawdopodobnie do wniosku, że w dziedzinie poezji należy mu się ta mniej więcej pozycja i ranga, jaką w prozie zdobył p. Pomper - Pomirowski, krytyk z tejże szkoły literackiej i podobnego polotu... Mógłbym snuć refleksje ogólniejsze na temat, jak nie tylko w zakresie stosunków handlowych, ale i w stosunkach kulturalnych pomiędzy narodami pożyteczne jest usuwać zbędne ogniwa pośrednictwa... Ale pod wpływem pięknego wiersza Anatola France'a myśli moje zwróciły się w innym zupełnie kierunku.

Politycznie, ideologicznie Maurras i France należeli do dwu zwalczających się obozów, w konkretnych sprawach niejednokrotnie zwracali się przeciwko sobie, a przecież nie przeszkadzało im to bynajmniej stale admirować się wzajemnie, jeden w drugim ceniąc tego samego „ducha latyńskiego", którego obaj tak świetnymi są przedstawicielami. Wódz rojalistów francuskich doktrynami swojemi i programem tak rewolucyjnie sprzeczny jest z panującemi we Francji dzisiejszej zasadami, a przytoczony wiersz France'a zamieszczony został na czele księgi ku czci Maurras'a, gdzie pisarze najrozmaitszych poglądów, republikanie i monarchiści, jednomyślnie składali hołd jego patriotyzmowi, talentowi i zasłudze [1]). Warto przypomnieć też, że gdy przed kilku laty inny pisarz rojalistyczny, Leon Daudet, zbiegłszy z więzienia znalazł się na wygnaniu w Belgii, prezesi wszystkich grup parlamentarnych, od prawicy do lewicy, podpisali wspólnie wniosek o jego ułaskawienie.

Nie od rzeczy byłoby pomyśleć nad takiemi przejawami jedności narodowej, tak nie spotykanemi dzisiaj u nas, jedności której podstawą musi być pewna wspólnota założeń, nie doktrynalnych, ale tradycyjnych, instynktownych, stwarzających wogóle możliwość dyskusji, bo przyjmujących możliwość wzajemnego zrozumienia się przez odwołanie się do tychże samych przesłanek. Nie od rzeczy byłoby podumać, jak dalece podobny stan stosunków u nas jest utrudniony przez rolę w naszem życiu intelektualnem żydostwa, która z natury samej prowadzi do dwoistości tych tradycyjnych założeń, zniechęcającej do prób przekonywania się, a przez to samo wyjałowiającej myśl, nie

[1]) Stefan Napierski: Lirycy francuscy, tom I. Warszawa 1936, skład główny Tow. Wyd. J. Mortkowicza.

[1]) *„Charles Maurras — poèmes, portraits, jugements et opinions."* Paryż 1919.

dającej warunków dla bujniejszego, wszechstronniejszego jej rozwoju.

Społeczność narodowa bowiem — należy to z naciskiem stwierdzić—jest jednością w wielości, jest umożliwieniem rozmaitości idej i form, współistniejących w atmosferze zaufania. Bez niej możliwy jest tylko albo rozpad zupełny, albo też martwa, „zestandartyzowana" jednolitość, narzucona przymusem zewnętrznym.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

PROJEKT PLANOWEJ EMIGRACJI ŻYDÓW Z POLSKI, zarówno *colonela* Żabotyńskiego jak i d-ra Adama Rosego, wywołał iście furiacki atak ze strony prasy żydowskiej. Atak był w tonie oraz intencjach idealnie zgodny, mimo iż reprezentował społeczeństwo, które — jak wykazały ostatnie wybory do rady gminy w Warszawie — potrafi się w sprawach wewnętrznych rozczłonkować na nieimponującą liczbę kilkudziesięciu list.

Żydzi wypowiedzieli swoje zdanie i obecnie z wrodzoną im arogancją nawołują do ciszy, uważając, że sprawa jest załatwiona.

„Dość tej komedii" — pisze w „Naszym Przeglądzie" p. N. S. Czytamy tam:

„Jest już czas najwyższy, abyśmy zakończyli dyskusję spowodowaną wystąpieniami dwu przywódców sjonistycznych, pp. Grynbauma i Żabotyńskiego i ukoronowaną deklaracjami rządu polskiego na terenie genewskim.

Stanowisko zajęte przez wszystkie dzienniki żydowskie zarówno sjonistyczne jak i antysjonistyczne, jest tak wyraźne i jednolite, iż żadnych nieporozumień pod tym względem być już nie może."

„Jest już czas najwyższy...", „Żadnych nieporozumień być już nie może..." Po czem przestroga:

„Na nic się wreszcie nie zdadzą pogróżki, jawne czy ukryte, brutalne czy łagodne, iż w razie przeciwdziałania z naszej strony wybuchną w Polsce „żywiołowe" rozruchy antyżydowskie, które będą przedstawione na szerokim świecie jako objaw naturalnego „zniecierpliwienia" polskich mas ludowych, cierpiących jakoby głównie z racji „nadmiaru" ludności żydowskiej w Polsce."

„Ostrzegając polską opinię publiczną przed chimerycznemi planami „ewakuowania" całej zdolnej do pracy ludności żydowskiej, i to raptem w ciągu jednego pokolenia, pragniemy właśnie uniknąć jeszcze gwałtowniejszego zaostrzenia kwestii żydowskiej, co musiałoby wszak prędzej czy później nastąpić, gdyż gorzka rzeczywistość międzynarodowa zadać musi kłam wszelkim fantastycznym koncepcjom, zrodzonym w niezdrowej atmosferze walk pomiędzy konkurującemi ze sobą partiami politycznymi."

„Ostrzegając polską opinię publiczną..." Przed kim? Przed czem? Żydzi udowodniają w ostatnich czasach, że mają przytępioną wyobraźnię polityczną. „Chimeryczne plany..." A jednak w s z y s c y dzisiaj już pragną uregulowania kwestii żydowskiej w Polsce właśnie w duchu owej ewakuacji, który to termin „Nasz Przegląd" bierze w cudzysłów! Spostrzega to wreszcie i autor artykułu, gdy *nolens volens* pisze:

„Jeżeli na ulicy żydowskiej doszło do straganiarskiego wprost licytowania się w produkowaniu recept na „radykalne" rozwiązanie kwestii żydowskiej, bądź to w drodze emigracji, bądź też w drodze przewrotu społecznego, to w łonie społeczeństwa „rdzennego" rozpoczął się analogiczny wyścig w formułowaniu recept na „radykalne" załatwienie problemu całkowitego „odżydzenia" Polski."

Posłuchajcie, do czego też wszystko dochodzi!

„Doszło już do tego, iż biedni endecy starego chowu nie mogą wprost nadążyć w pogoni za prorządowymi „załatwiaczami", których z kolei przelicytowali młodoendecy, wzorujący się na programie hitlerowskim, a więc domagający się wypędzenia z Polski nietylko żydów czystej krwi, lecz również niearyjczyków — do trzeciego conajmniej pokolenia wstecz."

Po czem wielkie zdumienie:

„Aby nie było żadnych w tym przedmiocie nieporozumień, młodoendecki dziennik zaliczył w poczet mniejszości żydowskiej pp. Adama Rosego, dyr. Gwiazdowskiego, radcę Frylinga, pisarzy Słonimskiego i Tuwima, tudzież cały legion dziennikarzy, zatrudnionych w prasie sanacyjno-bulwarowej."

Dostało się tu trochę stanowisku sanacyjnemu... Ano, bilonem jeszcze wprawdzie, niemniej jednak już płacenie rachunków za dotychczasową pozycję, tak obcą temu czego już dzisiaj, jak zaznaczyliśmy, pragną niemal wszyscy.

„Nasz Przegląd" się „ciska." Nie przepuścił i organowi konserwatystów:

„Jeżeli „Czas" wyraża nadzieję, iż inicjatywa dyplomacji polskiej w kierunku międzynarodowego rozwiązania kwestii żydowskiej znajdzie poparcie „znacznego odłamu żydostwa", to możemy tylko podziwiać naiwność polityczną szanownego organu konserwy."

„Szanowny organ konserwy", przerażony zapewne swoim „szalonym" wybrykiem, poprosił do niedzielnego numeru i żyda i awangardzistę, słowem Peipera. Co za znęcanie się nad sferami zachowawczemi! Jak można!

Ale odkładamy żarty na stronę. Dyskusja nad sprawą emigracji żydów, połączonej z likwidacją własności i kapitału żydowskiego w Polsce, dopiero się rozpoczęła i skończy się wówczas, kiedy to m y tego zechcemy. Nie wiemy na podstawie czego „Nasz Przegląd" wystąpienie na *forum* Ligi Narodów nazywa komedią. Czyżby stał na stanowisku, które w poczet mniejszości żydowskiej zalicza projektodawcę genewskiego d-ra Rosego? Byłoby to ze strony autora artykułu czemś bardzo niepolitycznem...

NAUKA i LITERATURA

POLSKA WYPRAWA DO AFRYKI

DZIŚ, gdy Polska niepodległa nakoniec jasno określa swe żądania w sprawie przydziału kolonij, bardzo na czasie jest książka, która przypomina Polakom pierwszą próbę urzeczywistnienia polskiej idei kolonialnej. Próbą tą była słynna wyprawa Rogozińskiego i towarzyszy w głąb Afryki. Miała ona na celu nietylko zbadanie owego terytorium pod względem geograficznym i przyrodniczym, ale też zajęcie niezamieszkałych dotąd obszarów pod kolonizację. Obszary te miały stanowić pierwszą niezależną kolonię polską i dawać żywy dowód, że Polska nie przestała istnieć.

Społeczeństwo nie zrozumiało doniosłości tego przedsięwzięcia i nie poparło go należycie. Zrozumieli jego cel i wagę tylko najwięksi z ówczesnych pisarzy: Prus i Sienkiewicz, którzy orędowali za Rogozińskim w prasie oraz

w instytucjach polskich (m. in. w Kasie Mianowskiego). Ale ich nawoływania przebrzmiały bez echa. Przeto tylko dwu znalazło się śmiałków, którzy zgodzili się wyruszyć w świat pod banderą polską, powiewającą obok francuskiej na maszcie głównym.

Z uczestników wyprawy żyje dziś tylko jeden; jest nim były dyrektor Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Leopold Janikowski, dziś już człowiek sędziwy, mimo to pełen jasności i żywości naprawdę młodzieńczej. Na życzenie Ligi Kolonialnej i Morskiej wydał on swe wspomnienia o tej przedziwnej robinsonadzie trzech Polaków sprzed lat pięćdziesięciu, dając swej książce tytuł „W dżunglach Afryki".

Przemiła to książka, napisana żywo, barwnie, gdzieniegdzie z przepysznym humorem. Autor nas jednocześnie wzrusza i bawi, gdy opowiada o swej ulubionej małpce i jej przyjaźni z poczciwym psem Dolarem. Ubawić nas mogą też przygody Janikowskiego z okrętem rosyjskim, którego oficerowie w chwilach upojenia alkoholem wznosili toasty „Na odbudowanie Polski". Interesuje nas tu kolejno każda stronica, z coraz to innych względów; raz dowiadujemy się arcyciekawych szczegółów o życiu ludów murzyńskich, o ich pojęciach religijnych, obyczajach, zabawach, języku; to znów czytamy o przyrodzie puszcz afrykańskich, o drzewach-olbrzymach, o zwierzętach tamtejszych; to znów odsłaniają się gęstsze i zdradliwsze od wszelkiej dżungli, tajniki polityki państw kolonialnych, zwłaszcza szalbierskie machinacje Niemców, którzy podstępnie zagarnęli Kamerun i udaremnili w nim dalszy pobyt polskim osadnikom. Słowem, cały pamiętnik napisany jest piękniej niż niejeden romans, a pożyteczniejszy jest od wielu powieści. Zasługuje na to, by stać się lekturą powszechną, przydatną geografom i przyrodnikom a także i tym wszystkim, którym leży na sercu dobro Polski, z książki tej bowiem możemy czerpać niejeden argument na stwierdzenie tężyzny naszego narodu—i jego praw

Janikowski był osobistym i serdecznym przyjacielem Henryka Sienkiewicza, z którym przez czas dłuższy mieszkał pod jednym dachem. Dzielili się z sobą często myślami—i zaważyło to na życiu ich obu. Sienkiewicz pod wpływem opowiadań swego współlokatora wybrał się niebawem sam w podróż do Afryki, a niejeden szczegół z jego przygód zużytkował w „Pustyni i w puszczy". Janikowski zaś—jak to widać z jego pamiętnika — u dobrego mistrza nauczył się sztuki opowiadania i stylu. J. B.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Na uniwersytecie Jagiellońskim przywrócono prawo wykładów prof. Ignacemu Chrzanowskiemu. Pierwszy wykład stał się uroczystością, w której wzięły udział oprócz młodzieży władze uniwersyteckie.

*

Na uniwersytecie Lwowskim rozpoczął wykłady „zlecone" odsunięty w stan spoczynku prof. St. Głąbiński. W tym roku wykładać będzie nowy przedmiot „Historię ekonomiki". Wykłady te ukażą się potem w książce. Pierwszy wykład prof. Głąbińskiego odbył się 10 b. m. i połączony był z gorącą manifestacją uczuć kochającej profesora młodzieży.

*

Rektor uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Maziarski, oddając berło rektorskie swemu następcy, prof. Szaferowi, na inauguracji roku akademickiego, wygłosił przemówienie, w którem między innemi omówił szkodliwe następstwa, jakie pociągnęła za sobą osławiona ustawa akademicka min. Janusza Jędrzejewicza.

„Ostrze niektórych artykułów tej ustawy uległo" — zdaniem rektora Maziarskiego—„powolnemu stępieniu a ostatnie zmiany i przesunięcia w ministerstwie W. R. i O. P. czynią obecnie ustawę o szkołach akademickich mniej dla nich groźną i szkodliwą. W każdym razie wyrządziła ona wiele szkód szkołom akademickim nietylko materialnych ale i moralnych. W każdym razie trzeba będzie szeregu lat, aby te szkody odrobić i przywrócić szacunek w społeczeństwie".

*

Proces Miriama (Z. Przesmyckiego) przeciwko T. Piniemu i Plebanowi o pogwałcenię prawa „autorskiego" z powodu wydania przez nich pism zbiorowych Norwida znalazł się wskutek kasacji znowu w Sądzie Apelacyjnym. Rozpatrzywszy powtórnie sprawę, sąd ten uznał, że niesłusznie apelacja uwolniła wydawców od zarzutu przywłaszczenia prawa autorskiego i zatwierdził orzeczenie pierwotne Sądu Okręgowego, który skazał rzeczonych wydawców na kary pieniężne. Kary te jednak umorzono z powodu amnestii. Nastąpi niewątpliwie znowu odwołanie się skazanych do kasacji.

Interesujące w tej zawiłej a niepotrzebnej sprawie jest to, że gdyby prawa „autorskie" Miriama zostały uznane, to do dzieł Norwida nie będzie miał nikt dostępu (jako wydawca), dopokąd Miriam żyje i jeszcze 50 lat po jego śmierci. Norwid się przewcielił w Miriama.

W związku z tem informują nas, że Miriam przystępuje do wydania dzieł wszystkich i listów Norwida. Wydanie złożone będzie z 12 tomów, a kosztować będzie podobno 24 zł.

*

Związek literatów w Wilnie przyznał doroczną nagrodę zł. 500 prof. Marianowi Zdziechowskiemu. Uczczenie tą koleżeńską zapomogą dostojnego członka honorowego Związku wywołało w kołach literackich uśmiechnięte uwagi pod adresem Związku, że nazbyt „za pan-brat" traktuje seniorów, będących poza konkursem ambicyj literackich.

*

Komitet wykonawczy „Święta Morza" na konkursie prasowym za najlepszy fejleton ogłoszony w czasie tego święta, przyznał pierwszą nagrodę zł. 500 p. Melchiorowi Wańkowiczowi.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Józef Białoskórski. „10 lat piekła w Legii Cudzoziemskiej". W opracowaniu Mirki Borkowicza. Skład gł. w księg. Tow. Wydawn. w Warszawie.

Jak w „Życiorysie własnym robotnika" Wojciechowskiego i w „Życiorysach bezrobotnych", wydawanych pod redakcją profesorów Błachowskiego i Znanieckiego w Poznaniu, tak i w tym utworze półanalfabety zachowali wydawcy typowy „styl" autora.

Pierwotność uczuć i prostacze, dosadne ich wysłowienie wobec niepojętych zjawisk otaczającego świata, mają, jeśli można porównywać, wdzięk wysłowienia i naiwność rysunków dziecka.

Przeważa w opisach tych przeżyć pierwiastek niefrasobliwego humoru. Białoskórski, od młodzieńczych lat, z humorem patrzył śmierci w oczy jako uczestnik powstania i walk o Śląsk, potem jako zbieg z niemieckiego więzienia, włóczęga o chłodzie i głodzie po Belgii i Francji, wreszcie „w piekle" swej służby wojskowej w Legii wśród bezkresnych piasków pustyni.

Temperament, skłonność do niezwykłego trybu życia, arabskie awantury, krwawe walki i wesołe flirty z kobietami kolorowemi, żywość niestrudzona, wroga rezygnacji i apatii, niemal rozsadzają karty tej osobliwej książki, i są, na swój sposób świadectwem natury polskiego chłopa, robociarza.

W historii literatury, w jej kamerze nadzwyczajności. „10 lat" sąsiaduje z wierszami głuchego szewca Kurasia, do których wydania dał przedmowę St. Żeromski, A bliżej ze wspomnieniami żołnierza-emigranta Marsa, który deportowany z Francji handlował w Algierze małpami. Z charakterystycznemi listami żołnierzy polskich na Kaukazie, przemocą po powstaniach włączonych do rot wojska rosyjskiego. Z literaturą nie z papieru, nie powstałą przy biurku. Przypadkowy to posiew i plon wojen o Polskę. (A. W.)

*

Inż. Stefan Bauer. „Nowoczesne drogi drzewnokamienne". Z przedmową Stefana hr. Tyszkiewicza. Warszawa 1936 r. Nakładem Związków drzewnych w Polsce.

Doskonały zbiór informacyj dla pracy przy budowie dróg. Podaje wskazówki o uzyskiwaniu trwałości, elastyczności, tłumieniu hałasu i wreszcie taniości. Opisuje popularnie technikę budowy, metody robót ziemnych, przeważnie z okrąglaków, impregnacji klocków i ich układania. Walcowanie. Polewanie emulsją smołowo-asfaltową. Drogi leśne szosy, ulice w miastach.

Tekst podręcznika uzupełniają liczne ilustracje.

Jakie są u nas drogi, — wiadomo. W wydanych przed

laty „Relacjach nuncjuszów papieskich o Polsce" powtarzają się skargi nuncjuszów Commendoni'ego i Ruggieri'ego na „złe drogi z popsutemi mostami, po których oni śmiało jeżdżą".

Od epoki Jagiellonów nie wiele się zmieniło.

Prof. Piccard, przebywając dłuższy czas w Polsce, celem dopatrzenia robót przy budowie balonu, którym wzniósł się w stratosferę, uprzejmy cudzoziemiec chwalił wszystko co widział, jednak w kwestii dróg wypowiedział się, że najlepsze są u nas drogi... powietrzne.

Może więc wydawnictwo Ligi Drogowej wpłynie na polepszenie tego pierwotnego stanu rzeczy. (A. W.)

TEATR

DOWÓD OSOBISTY

NASZA wierna rzeka literacka, mająca swe źródła w głębokich pokładach duszy, w czasach najnowszych garnie w siebie coraz więcej dopływów, niezawsze czystych. Najgorsza sprawa, gdy płynie przez miasta, gdzie ścieki kanałowe odgrywają rolę górskich potoków.

Pod koniec XIX w. wpłynęła literatura żydowska, od której aż zmieniła się barwa rzeki. Dodajmy literaturę socjalistyczną, która z żydowską tak złączona, jak Narew z Bugiem pod Warszawą. Są dopływy takie, jak zamawiane nowele u robotnika Wojciechowskiego, są produkcje Urke-Nahalnika.

Ale nie małego znaczenia jest też dopływ literatury kobiecej. Z literatury, która drzewiej była męska, weszliśmy w okres literatury żeńskiej. Nad tem krytyka mało się zastanawia, a nietrudno byłoby wykazać, że dzisiaj mężczyźni pisują już po kobiecemu.

Świat. widziany przez mężczyznę, jest trochę inny, niż widziany przez kobietę.

Oto p. Maria Jasnorzewska-Pawlikowska wystawiła teraz w Teatrze Nowym komedię trzyaktową p. t. „Dowód osobisty Zebrzydowieckich." Jest to typowo kobiece zjawisko literackie doby naszej, zasługujące na analizę chemiczną. Warto się przypatrzeć, jakie pierwiastki składają się na żywioł naszej literatury współczesnej.

Czego tam niema! Cały świat widzimy pod kątem użyteczności seksualnej. Stare kobiety ośmieszone, jako nieużytki, „szmelc", zawalidrogi. Mężczyźni gatunkowani metodą eugeniczną na jurnych i zdechlaków, na gorącej krwi ogierów i ziemnowodne żaby, po żydowsku mówiąc — na stuprocentowych mężczyzn i małoprocentowych. Według tego podziału widziany jest układ społeczeństwa: arystokracja — to sfera ludzi zdegenerowanych, demokracja — to sfera zdrowego, jurnego pierwiastku ludowego. *Ergo*, precz z arystokracją! Autorce brak tchu, tak się wyczerpuje wymyślając arystokracji.

Ten pogląd eugeniczny ciągnie za sobą cały splot pojęć liberalnych, aż do najdalszego radykalizmu, bo gdzież się zatrzymać, gdy chodzi o ciało i o życie ułatwione? Powstaje mieszanina filozofii materialistycznej z nauką racjonalnej hodowli, mieszanina, którą nazwać można socjal-seksualizmem.

Pani Jasnorzewska dla zilustrowania swego światopoglądu wprowadza na scenę dwie pary ludzkie w młodym wieku. Lekarz Szymon Goryczka, góral z pochodzenia ma żonę, taką sobie zwyczajną snobkę warszawiankę, a druga para w kontredansie to arystokrata, hr. Zebrzydowiecki, ożeniony dla pieniędzy z solidną panną, niemieckiego pochodzenia, a dobrej kultury.

Autorka te dwie pary krzyżuje. Zmiana dam: Szymon Goryczka ma dziecko z Malwą Zebrzydowiecką, mąż zaś jej ma dziecko z Aldą Goryczkową. W ostatnim akcie sprezentowane są oba niemowlęta. I cóż się pokazuje? Oto dziecko, spłodzone przez hrabiego, ma pletwy między paluszkami, a to u Zebrzydowieckich jest rodowe, to jest ich „Dowód osobisty."

Oczywiście Goryczkowa jest skompromitowana, utrzymywała bowiem, że jest w ciąży od męża. Prawda wyszła na jaw. U Zebrzydowieckiego publiczność pletw nie widzi, albowiem te błony Zebrzydowieckim w niemowlęctwie przecinają.

Zadaniem sztuki jest doprowadzić publiczność do wściekłości na hrabiego i Goryczkową. Skandal, świństwo! No dobrze, powiadamy, ale tamto dziecko także nieprawe. Nie o to chodzi — odpowiada autorka — wcale nie o to. Tamto dziecko jest zdrowe, śliczne, a to — pfuj — żaba!

Chodzi o to, że kobieta łączyć się winna z osobnikiem zdrowym, odpowiednio dobranym, nie wolno dopuszczać się aktów „miłości" bez ognia. Związki z konwenansu, czy ze snobizmem kończą się bezpłodnością (na to są poradnie), albo ot takim żabim pomiotem.

Demonstracja pouczająca, jakbyśmy byli w poradni macierzyństwa, w poradni hodowlanej, uskuteczniającej odpowiedni dobór.

Rzeczy dobrze znane hodowcom stadnin, gdzie każdy koń oceniany jest indywidualnie i z rasy. Autorka zrobiła przy tej sposobności owację ludowi (frontem do ludu!), zalecając tę odmianę mężczyzn jako najbardziej ognistą i zdrową. Takie wyobrażenia tkwią podobno popularnie między ceperkami w Tatrach, ale to nie jest zupełnie pewne. Trochę dalej, w Beskidach Wschodnich, górale bywają chorzy.

Uważam tedy ten pogląd za doktrynę. Przy obecnem stanie zagładzania się młodzieży wiejskiej, w 60% brakowanej podczas poboru z powodu cherłactwa, nie można kobietom tak wiele na tym froncie rokować.

I wogóle, czy dobrze jest w sztuce tak zwężać pogląd na sprawę miłości i doboru? I takim kosztem! Ileż autorka nakładła farb nienawiści na swój obraz, żeby uwydatnić miłość! Może to tylko propagandą odrazy do arystokracji. Ale jakież to staroświeckie. Czyż ta garstka ginąca może być tak groźna dla sprawy populacji?

Wadą światopoglądu p. Marii z Kossaków Jasnorzewskiej jest to, że w rozważaniu życia ludzkiego zeszła z gruntu humanistycznego. Niegdyś, kiedy przeczytałem pierwszy jej zbiorek poezyj, spostrzegłem na jej talencie dwa niepokojące punkty: 1) traktowanie mężczyzny, jak konia (porównanie z ogierem mnie dotknęło), a potem 2) kabaretowa kultura humoru. Mania (do niedawna pisało się: manja) dowcipu, sprawiająca, że każdy jej utwór ma naturę kupletu, idzie w tej sztuce w parze z doktryną konia. Te dwa kompleksy tworzą skazę w rasie literackiej i są w tej komedii „dowodem osobistym" autorki.

Ten sam temat z historią owych dwu par, poprowadzony po linii zagadnienia duchowego, nie zaś tak weterynaryjnie fizycznego, byłby może nie zbyt nowy, ale przy talencie, jakim rozporządza autorka, mógłby nam dać bardzo ładną, pełną wdzięku poetyckiego, komedię, nawet dramat.

Akademia Literatury przyznała na konkursie nagrodę tej sztuce. Pokarani zostali za to ci

członkowie Akademii, którzy musieli teraz pisać o tej sztuce recenzje teatralne. Pochwalając ideologię (poradnie, życie ułatwione), nie mogli przyznać sztuce wartości literackiej. Bo nie mogli, bo nie można z hodowli fizycznej robić dramatu.

Żywioł kobiecy na scenie góruje. Na cztery główne postacie kobiet dwu mężczyzn. Tego rodzaju talenty kobiece unikają mężczyzn. Nałkowska dała sztukę całkiem bez mężczyzn.

Niewiele mają o nich do powiedzenia: ogier— żaba — i tyle. Za to kobiety wykończone z finezją, z całą złośliwością, gdzie barwy ciemniejsze, nawet z furią. Nigdyby mężczyzna nie pastwił się w ten sposób. Któż pokazać mógł Dulską, jeśli nie kobieta?

Artystki teatru (pp. Ćwiklińska, Dulębianka, Kościeszanka), dogadzając intencjom autorki, aż szarżowały, tak się rolami przejęły. P. Gorczyńska, która poszła za głosem gatunku, ponad śnieg była biała. Pp. Damięcki i Ciecierski w żenujących rolach rozpłodowców prezentowali się odpowiednio.

Całość na wyżynie dobrego teatru.

Z. W.

MUZYKA

FILHARMONIA. — Nie mogłem, niestety, podzielić się z czytelnikami „Myśli" wrażeniami z pierwszego w tym sezonie, inauguracyjnego koncertu w Filharmonii, który dawał okazję do zastanowienia się nad rozwojem naszej twórczości symfonicznej. Drugi wieczór, po świetnie poprowadzonym przez Dobrowena *concerto grosso* Haenda wprowadził nas w kraj muzyki rosyjskiej.

A więc piąta symfonia Czajkowskiego, oraz trzeci koncert fortepianowy *d-moll* Rachmaninowa. Zestawienie, należy przypuszczać, najzupełniej przypadkowe, niemniej jednak dające jeden zwarty obraz.

Współczesny nam Rachmaninow żyje wciąż pod urokiem romantyzmu. Aż dziwne, że potrafił przedrzeć się poprzez cały dorobek poromantyczny, by dać parę dzieł, co to mimo swej narodowej odrębności mieszczą się doskonale ze względu na... smak epoki obok takich np. zagranych na *bis* dwóch etiudach Chopina czy idealnie odtworzonych przez Egona Petri'ego *„Soirées de Vienne"*. Romantyzm w twórczości Rachmaninowa nie jest ani czemś sztucznem, nawrotem, ani zachwytem nad minionym stylem, który się wskrzesza, bo... ładny. Jak powiedziałem jest, to trwanie pod urokiem, a więc coś niezwykle żywego.

Żałować należy, że autor granego w piątek koncertu *d-moll* przestał pisać. Byłoby niezmiernie ciekawe, jak i o ile współczesna forma potrafiłaby dzisiaj wpłynąć na jego koncepcję twórczą. Nie wymagajmy jednak zbyt wiele dla naszej niezaspokojonej ciekawości. Uszanujemy decyzję artysty.

Egon Petri witany był przez Warszawę wprost owacyjnie. Zwócono i słusznie uwagę, że pierwszą część koncertu grał zbyt kameralnie. Zarzut? Ależ my romantyczność często kojarzymy z jakimś zamkniętym, ściśle odgrodzonym od innych światem. Wpłynęła na to najbliższa nam wielka twórczość Chopina, dostarczająca wiele wzruszeń dalekich od zachwytu wyłącznie nad formą. Wszystko prawda — romantyzm jednak, nie zapominajmy, pokazał również sali koncertowej artystę wirtuoza, który dla techniki grania potrafił nieraz wiele poświęcić. Przykładem Liszt i Paganini.

Tym, dla których romantyzm przejawia się przede wszystkiem w owej drugiej postaci, dał Petri pełną dynamiki część drugą koncertu.

Oklaski bili więc — wszyscy.

W. NARUSZ

FILM

ATLANTIC: „Anthony Adverse", reż. M. le Roy, film amerykański.

Rzecz zrobiona z rozmachem i z amerykańską sprawnością techniczną Bogactwo poszczególnych obrazów przyodziewa fabułę, w istocie błahą, lecz dość zręcznie zmajstrowaną, coś w rodzaju filmowego odpowiednika romansów Dumasa. Mógł być podoby temat dostatecznym pretekstem do nanizania na nitkę jednego wątka oddzielnych scen, których barwność i ruchliwość plastyczna jest głównym walorem filmu, niestety gorliwy reżyser wykazał za dużo ambicji. Nie wystarczyły mu romantyczne przygody nieprawego syna hiszpańskiego granda, nadzwyczajny splot intryg i t.p. akcesoria tego rodzaju opowieści, zapragnął także kaznodziejstwa, a nawet pokusił się o pokazanie rozterki duchowej grzesznika, oczywiście w zbożnym celu nawrócenia widowni. Jednak do wykonania takiej np. brawurowej sceny, jak runięcie w przepaść pędzącej kolaski, wystarczy dobry amerykański filmowy majster, do wyżej rzeczonych natomiast kwestyj— nie. Do takich delikatności paluchy amerykanina nazbyt są jeszcze grubaśne.

Fragmenty o posmaku dydaktycznym i krótkie na szczęście próby psychologizowania psują ten skądinąd całkiem przyjemny film i mącą jego jednosć rodzajową.

Fotografia bardzo dobra, kompozycja wielu obrazów niebanalna. Wyróżnił się nieznany mi z nazwiska aktor, w roli bankiera, opiekuna (i dziadka) Anthony'ego Adverse'a.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Tow. wydaw. „Rój w Warszawie wydało z datą 1936 r. następujące książki:

Dyboski Roman. Między literaturą a życiem Str. 279.

Mauriac Franciszek. Czarne anioły. Powieść.

Mostowicz Dołęga Tadeusz. Drugie życie doktora Mirka. Powieść.

Naglerowa Herminia. Krauzowie i inni. I. III Powieść.

Meissner Janusz. Pierwsze kroki. Powieść.

Morcinek Gustaw. Gołębie na dachu.

Galsworthy John. Za rzeką. Przekład M. Godlewskiej.

Wasilewski Zygmunt (Drzewica). Co to jest wartość. Teorja wartości absolutnej. Stryj 1936. Str. XIV i 267.

Pawlikowski Michał. Okna. Serja druga. Medyka 1936. Nakł. Bibl. Medyckiej (Op. 14). Str. 6 il. i 150. 20 ilustr. Cena zł. 3.60.

Zakrzewski Stan. Z. Ogłoszenia Prasowe. Warsz. 1936. Związek Wydawców.

Smolarski M. Dawna Polska w opisach podróżników. Warsz. 1936. Książnica Atlas. Str. 175.

„Dmowski Roman. Przyczynki, przemówienia". Poznań 1936. Nakł. „Głosu". Str. 142.

Ślubujemy. Echa pielgrzymki akademickiej na Jasną Górę 24 maja 1936. Toruń 1936. Inst. wydaw. różańcowych. S. 69.

Norwid Cyprjan. Słowo i litera w rozwoju dziejowym uważane. Garść listów z lat 1845 — 1882. Z autografów zebrał i wydał Stanisław Pigoń. Warsz. 1936. „Myśl Narodowa". Str. 166.

Terlaga Jan ks. dr. Działalność ks. Jakóba Wujka T. J. jako rektora Kolegium Poznańskiego. Kraków 1936. Nakładem autora. Str. 116.

Andrzejewski Jerzy. Drogi nieuniknione. Nowele. Warsz. 1936. Prosto z mostu.

Piasecki Stanisław. Prawo do twórczości. Warsz. 1936. Prosto z mostu. Str. 303.

Przegląd Współczesny. Warszawa Wrzesień.

Rybarski Roman. Kredyt i lichwa w Ekonomii Samborskiej w XVIII w. Lwów 1936. Badania dziejów społ., nr. 30. Skład gł. w Kasie im. Mianowskiego.

Świerzowicz Jan. Szkice literackie. Seria pierwsza. Grodzisk Poznański 1936. S. VIII i 247.

Język Polski. Kraków 1936, lipiec-sierpień.

POKŁOSIE

OBRAZKI Z GOGOLA

DZIENNIKI doniosły, że krakowskie koło Związku Legionistów wezwało swego komendanta p. Zacharjasiewicza do ustąpienia, a powodem tego kroku jest zajmowanie przez niego dwu dobrze płatnych posad, mianowicie radcy w urzędzie wojewódzkim oraz kontrolera w miejscowej ubezpieczalni społecznej. Zaatakowany nie poddał się jednak, utrzymując, że cieszy się zaufaniem „góry" i sprawa nie jest jeszcze zakończona.

Jest to, zdaje się, drugi wypadek zastosowania się do rzuconego w swoim czasie hasła o konieczności prowadzenia „surowego życia": pierwszy wydarzył się przed kilkoma miesiącami, kiedy to pewien dygnitarz zrzekł się jednej z pobieranych wysokich pensyj. Poza tem jakoś nie słychać, żeby słynny „legion zasłużonych" drgnął, ucichły również wiadomości o zamiarach ogłoszenia listy członków tej uprzywilejowanej elity i nic nie słychać o zmianie systemu nadawania notarjatów.

Opinia jest natomiast niewątpliwie zaskoczona mnogością spraw sądowych o rozmaite nadużycia w urzędach, jakie w ostatnich miesiącach zapełniają szpalty dzienników. Można to oczywiście uważać za porządany objaw tępienia nadużyć i zapisywać na dobro rządów, ale jak to się dzieje, że zbiera się tego aż tyle...

Prym trzyma afera Parylewiczowej, ale są i inne nie pozbawione ogólniejszego interesu. Naprzykład taka sprawa Krzysztoforskiego, naczelnika urzędu skarbowego w Radomiu, i 19 towarzyszy, oskarżonych o defraudacje. Obecny główny oskarżony był uważany, według świadectwa wystawionego mu w mowie pożegnalnej z okazji przeniesienia przez jednego z działaczów BBWR, za wzór urzędnika, a w parę dni potem znalazł się w więzieniu. Czyż jednak rzeczywiście mógł być uważany za wzorowego urzędnika? Przewód sądowy ujawnił fakty, będące zresztą publiczną tajemnicą, które każą myśleć o czasach „Rewizora" Gogola.

Krzysztoforski był wiceprezesem rady grodzkiej BBWR w Radomiu i trząsł miastem, rozsiewając pogłoski, że ma poparcie w ministerstwie. Naiwni radomiacy wierzyli widocznie w to poparcie, skoro poddawali się rządom tego pana potulnie, a tymczasem okazało się, że „trzęsący" miastem i urzędem skarbowym naczelnik, a zarazem wiceprezes BBWR od 10-u lat popełniał systematyczne nadużycia, które przekroczyły sumę ćwierć miliona złotych. „Rozprawa Krzysztoforskiego, czytamy dalej w sprawozdaniu dziennika, ujawniła słynne już dziś „wesołe kontrole". Gdy pytano się Krzysztoforskiego, co stało się ze zdefraudowanemi pieniędzmi, wyjaśnił ze szczerością, jaka cechuje go wobec sądu, że duża ich część poszła na opłacenie śniadań, obiadów i biesiad kontrolerów z kieleckiej Izby skarbowej. Kontrolerzy chętnie przyjeżdżali do Radomia, by po godzinie lub dwu godzinach pracy rozpocząć ucztowanie w zacisznej restauracji. Takie inspekcje trwały czasem nawet tydzień i doprowadzały urzędników skarbowych do rozpaczy. Z drugiej strony naczelnicy urzędów, udający się w sprawach służbowych do Izby skarbowej w Kielcach, musieli również „stawiać", wydając setki złotych na poczęstunki, które odbywały się tradycyjnie w restauracji „Europejskiej", w sali, która nosiła stąd nazwę „Skarbówki"...

Świadkowie zeznają, że w urzędzie odbywały się brydże i herbatki. Na biurkach grano w karty. Woźni nie raz widzieli pijanych kontrolerów, nocujących w gabinecie Krzysztoforskiego w ubraniach na kanapie. W pokoju walały się poprzewracane butelki i potłuczone kieliszki. Nie raz widziano jak nocą z urzędu wychodziły kobiety podejrzanego prowadzenia...

Co widzieli woźni, to nie było przecież tajemnicą dla innych i oto po tem wszystkiem mamy mowę pożegnalną na bankiecie, sławiącą „wzorowego urzędnika". Może jednak te rozsiewane „pogłoski" o plecach nie były pogłoskami, bo cóż zresztą zeznał rzecznik dyscyplinarny Izby skarbowej p. Przyboś?

Oto, gdy na skutek anonimu (trzeba było dopiero anonimu) Izba kontroli państwa zażądała śledztwa, to p. Przyboś miał poważne obawy zaczynając dochodzenia „ponieważ zdawał sobie sprawę, że nie jest wskazane dla młodego, początkującego urzędnika potknąć się o silne wpływy Krzysztoforskiego".

Wszystko to było oczywiście znane w całem mieście, a działo się nie na jakiejś zapadłej, deskami od świata zabitej prowincji, lecz w dużem mieście, o dwie godziny drogi samochodem od stolicy. I trzeba było dopiero jakiegoś anonimu, żeby kamień potoczył się w dół.

Przytoczyliśmy obszerniej ustępy z rozprawy, bo są to jednak rzeczy prawie nie do wiary. Trudno rzeczywiście uwierzyć do jakiego stopnia jednostki, czujące za sobą „plecy", mogły się posunąć w poczuciu bezkarności, jak nie zadawały sobie nawet fatygi, żeby chociaż jakiemiś pozorami osłonić swą konduitę. To przechodzi nawet obrazki Gogola.

Nie trzeba wielu dociekań, żeby wyjaśnić na jakim gruncie wyrastają podobne wonne kwiaty. Niezależna trybuna kontroli, sejm, właściwie została zlikwidowana. Opinia publiczna, sterroryzowana, znajduje lichy wyraz w postaci tajemnie kolportowanych wieści i plotek, prasa gnębiona konfiskatami za byle krytykę stosunków, musi milczeć. A niedawno jeszcze przybyła groźba Berezy.

W takich warunkach procesy nie uzdrowią atmosfery. Oszczerstwa należy karać, ale nie należy jednocześnie kneblować ust krytyce i opinii. Kontrola opinii prędzej położyłaby kres nadużyciom, niż zdołała to uczynić kontrola państwa, która dopiero z anonimu dowiedziała się o tem, co się działo w ważnym urzędzie pod bokiem stolicy w ciągu dziesięciu lat.

ARGUS

NA MARGINESIE

Wycinek z „Kur. Pozn." (nr. 470):

„Ostrów: Przed sądem okręgowym w Ostrowie toczyła się rozprawa przeciwko członkom S. N. z Kępna pp.: Orsztynowiczowi i Kużajowi o noszenie krawatów zielonych z wyhaftowanemi mieczykami Chrobrego. Sąd po naradzie wydał wyrok uniewinniający, uzasadniając tem, że krawat taki nie zalicza się do odznak, tem samem nie podlega dekretowi o zakazie używania odznak organizacyjnych".

Ciężkie kłopoty miała Rzeczpospolita w 1936 r.!

*

We Lwowie władze policyjne zawiesiły wydawnictwo czasopisma „Sygnały" za propagowanie komunizmu.

Półrządowy organ dzisiejszego gabinetu, „Kurier Poranny" (W. Rzymowski redaktor) pisze z tego powodu z oburzeniem (9.X):

— „Zawieszenie to dowodzi całkowitej dezorientacji, nadto upartego nierozgarnięcia. To żałosne wydarzenie jest zarazem groteskowe..."

— Dla czego—pytamy—„dezorientacja"?

— Bo — odpowiada „Kurier" — władze lwowskie nie orientują się, że są to czasy frontu ludowego, „Sygnały" „korzystały z pomocy ...państwowych funduszy kulturalnych", zespół redakcyjny składał się „prawie w całości ze stypendystów czy to Wydziału Sztuki (W. R. i O. P.) czy też Funduszu Kultury"...

— Dobrze, dobrze—przerywamy. — Jak się nazywają ci entuzjaści kultury? Choć parę nazwisk:

— Holender, Promiński, Salzman, Wittlin, Naglerowa, Ortwin, Berman, Lourie...

— Toż to sami żydzi!

— Byli różni. Patronem wydawnictwa był akademik Literatury W. Rzymowski. On wprowadził do „Sygnałów" innych członków Akademii: Irzykowskiego, Kleinera, Staffa...

Istotnie, starosta grodzki m. Lwowa zdezorientował się. Znając stosunki miejscowe, wie, że to gniazdo komunizmu. Ale nie obliczył się, że tam z góry wysokiej, z Warszawy inaczej to wygląda, że ta pepiniera na coś jest potrzebna.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM